Na prawach rękopisu

BIULETYN OŚWIATOWO-PROPAGANDOWY KORPUSU OCHRONY POGRANICZA

Rok IV — Styczeń — Luty — 1939 r. — Nr. 1-2

Podoficer K. O. P. w pracy wychowawczej i oświatowej

Rola podoficera w wojsku jest nam wszystkim znana i nie ma chyba dzisiaj nikogo, kto orientując się w warunkach pracy wojska, nie doceniałby olbrzymiego wpływu podoficera na wychowanie i wyszkolenie żołnierza.

Wobec wielkich wymagań, jakie stawia się dzisiaj żołnierzowi przy mocnym akcencie na jego ducha i na jego charakter, trudno sobie wyobrazić, ażeby kształtowanie tych wartości moralnych żołnierza mogło się odbywać bez współudziału pracy podoficera.

Szczególnie mocno uwypukla się to w Korpusie Ochrony Pogranicza, gdzie podoficer częstokroć jest bezpośrednim dowódcą żołnierza, jego instruktorem, a tym samym i jego wychowawcą. Pomijając rolę podoficera w wyszkoleniu, gdyż nie odbiega ona od roli każdego podoficera, główną uwagę chcę zwrócić na jego rolę w wychowaniu.

Przede wszystkim odpowiedzmy sobie na pytanie: co to znaczy wychowywać?

Wychowywać, to znaczy oddziaływać na człowieka według pewnych zasad, dążąc do celów z góry określonych i uznanych za godne kulturalnego człowieka, a w naszym pojęciu — dobrego żołnierza i obywatela. Przez wychowanie dążymy więc do poprawienia, uszlachetnienia żołnierza, starając się jego błędy i niewłaściwe nawyki usunąć i przekształcić na cechy dodatnie.

W jaki sposób wychowujemy żołnierza? Otóż musimy zaznaczyć, że całokształt życia wojskowego, począwszy od wyszkolenia, poprzez służbę wewnętrzną, wychowanie fizyczne i pracę oświatowo-kulturalną, jest — w całym słowa tego znaczeniu — systemem wychowawczym. Trzeba tylko mocno baczyć, ażeby nie było w nim zaniedbań, niedociągnięć i niekonsekwencyj.

Jakież będą czynniki, które umożliwią podoficerowi K. O. P. należyte wykonanie swoich zadań w tym systemie wychowawczym?

Sądzę, że dałyby się one określić w następujących punktach:

1) znajomość regulaminów i instrukcyj oraz ścisłe i konsekwentne stosowanie ich w życiu codziennym,
2) osobisty przykład,
3) branie żywego udziału w pracy oświatowo-kulturalnej żołnierza.

Ażeby mieć kształcący wpływ na żołnierza, trzeba doskonale opanować wiadomości, których mamy żołnierza nauczyć. Wszystkie te wiadomości zawarte są w instrukcjach i regulaminach, dostępnych dla każdego podoficera. Mało jednak, że trzeba je znać — trzeba jeszcze zrozumieć ich ducha, ich myśl przewodnią, nadaną im przez władze naczelne.

Znajomość regulaminów i instrukcyj, powinna iść równolegle ze skrupulatnym stosowaniem ich postanowień w życiu codziennym. Tylko tak pojęta znajomość podstawowych wiadomości potrzebnych podoficerowi da mu pewność siebie i poszanowanie u podwładnych. Jeżeli podoficer tych wiadomości nie opanuje, trudno mu będzie myśleć o skutecznym kształtowaniu umysłu i duszy żołnierza.

Najlepiej jednak przygotowany do pracy zawodowej podoficer nie potrafi osiągnąć pozytywnego rezultatu w wychowaniu żołnierza, jeżeli sam nie będzie tak postępował, jak tego wymaga od swych podwładnych, jeżeli sam nie będzie dawał dobrego przykładu. Dobrym przykładem musi świecić tak w życiu służbowym jak i prywatnym. Szczególnie odnosi się ta zasada do podoficerów K. O. P., których życie w małych garnizonach jest pod stałą obserwacją żołnierzy i osób cywilnych. A trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że nikt tak, jak młody, żywy jeszcze i bezkompromisowy umysł żołnierza nie potrafi podpatrzeć, ocenić i wydać surowego wyroku na tego przełożonego, który stosuje w swym życiu dwie moralności: jedną w swoim życiu, drugą w życiu innych. Taki przełożony nie zdobędzie zaufania. Wymagając od innych przestrzegania pewnych zasad, równocześnie musimy surowo oceniać i kontrolować swoje postępowanie, czy zgodne jest ono z tymi zasadami. Jeżeli wymagam od swojego wychowanka punktualności, karności, koleżeństwa, mówienia prawdy, poprawnego stosunku do ludności, czystości obyczajów — to sam muszę być punktualny, karny, koleżeński, prawdomówny, poprawny w stosunkach z ludnością i nie mogę prowadzić rozwiązłego trybu życia.

Hasłem każdego dobrego wychowawcy musi być zasada: tak postępuję w swym życiu, jak nakazuję postępować swojemu wychowankowi.

Żołnierz K. O. P., jak i każdy inny żołnierz wojska polskiego, posiada jeszcze w pewnej swej części braki w wykształceniu ogólnym, (niestety, spotykamy się jeszcze w naszych szeregach z analfabetami), szczególnie zaś w wiadomościach o Polsce współczesnej. Niezależnie od tego żołnierz K. O. P. w większości swej rozlokowany po wsiach i małych miasteczkach, jest pozbawiony oddziaływania kulturalnego środowisk, jakimi są garnizony większych miast. Skutkiem tego nasuwa się konieczność ciągłego jeszcze dokształcania żołnierzy, jak również udostępnienia im takich zajęć kulturalnych, które by z jednej strony dały żołnierzowi godziwą rozrywkę, pozwoliły zapomnieć o trudach żołnierskiego życia, a z drugiej były dalszym ogniwem wychowawczego oddziaływania.

W tej to pracy dopiero w całej pełni narzuca się rola podoficera KOP. Trzeba przyznać, że rolę tę podoficer K. O. P. w wielu wypadkach pełni z dobrymi rezultatami, a w niektórych formach tej pracy nabrał już dużego doświadczenia. Tę rolę zamierzam szczególnie naświetlić, ażeby podoficerów, którzy może mają dobre chęci, a nie doceniają swych możliwości, zachęcić do podjęcia tej pracy, gdyż jest ona koniecznością.

Na czoło wysuwa się tutaj rola podoficera jako *nauczyciela w żołnierskiej szkole początkowej.* Jak widzimy z doświadczenia, w niewielu wypadkach do nauczania żołnierzy możemy zaprosić nauczycieli cywilnych. Albo ich nie ma w dostatecznej ilości, albo też ogrom prac społecznych, które spadają na ich barki, nie pozwala odrywać ich od tego, tak ważnego zadania. Nauczanie więc biorą w swoje ręce podoficerowie. Jak wykazały dotychczasowe doświadczenia, podoficer chętny i przygotowany do tej pracy osiąga *dobre wyniki.* Mamy wiele przykładów, że niejeden dowódca strażnicy potrafi zupełnie wyplenić analfabetyzm wśród swej załogi. Dzisiaj, gdy do nauczania w żołnierskiej szkole początkowej mamy już kilkuset podoficerów przygotowanych na specjalnych kursach, możemy myśleć o całkowitej likwidacji analfabetyzmu w szeregach K. O. P.

Pogadanki wychowawcze, jak również pogadanki z nauki obywatelskiej, również często wygłaszają sami podoficerowie, szczególnie dowódcy strażnic. Przede wszystkim bardzo wielkie znaczenie wychowawcze mają pogadanki (pogawędki) na temat zagadnień, z jakimi żołnierze spotykają się w czasie swej służby. Będą to tematy, nasuwające się w czasie czytania gazet, wydarzenia polityczne, wypadki w oddziałach, które powinny być przez podoficerów naświetlane niekoniecznie w czasie przeznaczonym na zajęcia oświatowe, ale w czasie marszów, wypoczynków itp. Pogłębienie wiadomości z nauki o Polsce ułatwione jest obecnie, po wydaniu przez Wojskowy Instytut Naukowo - Oświatowy podręcznika, zawierającego pełny tekst pogadanek z tej dziedziny.

Rozwój *czytelnictwa gazet i książek* opiera się przede wszystkim na pracy podoficerów. Polega ona na zachęcaniu żołnierzy do czytania gazet (szczególnie zaś prasy, która dociera do każdego żołnierza — „Na Straży", „Nowiny", „Żołnierz Polski" i „Kalendarz Miesięczny"), wskazywaniu do przeczytania artykułów, omawianiu ich treści, objaśnianiu nieznanych słów itp.

Sprawę czytelnictwa książek omawialiśmy już niejednokrotnie na łamach Biuletynu. Chciałem tylko wspomnieć, że podoficer, jako kierownik punktu bibliotecznego, posiada olbrzymie możliwości postawienia czytelnictwa na właściwym poziomie.

Praca w naszych *świetlicach,* szczególnie świetlicach pododdziałowych i strażnicach powinna się opierać na podoficerach, szczególnie podoficerach młodszych, którzy dopiero wyszli z grona szeregowców. Młodym podoficerom, nie posiadającym jeszcze swoich własnych rodzin, których tok zajęć tak mocno jest związany z życiem i zajęciami szeregowców, musi przypaść w udziale prowadzenie prac na terenie świetlic, pod kierunkiem starszych podoficerów i oficerów. Udział w tej pracy pogłębia ich wiadomości i daje im możność doskonałego zaznajomienia się z nastrojami i bolączkami najmłodszych żołnierzy.

Udział podoficerów w amatorskich *zespołach teatralnych* oraz częste kierownictwo żołnierskimi zespołami teatralnymi spotykamy na porządku dziennym. Rola podoficerów na tym odcinku pracy kulturalnej jest bardzo duża. Niektóre zespoły teatralne, w których biorą udział podoficerowie i ich rodziny, stoją na wysokim poziomie i oddziaływują wychowawczo nie tylko na żołnierzy, ale i na całe środowiska, dla których dają przedstawienia. Obecnie, przy dużym nacisku na ożywienie zespołów teatralnych, złożonych z samych żołnierzy, podoficerowie — ze względu na swoje doświadczenie — mogą wiele zdziałać, kierując tymi zespołami w swoich pododdziałach. Dobrze przygotowana i wystawiona przez dany pododdział wieczornica, powinna być ambicją wszystkich podoficerów.

Jest jeszcze jedna dziedzina pracy kulturalnej, na którą mogą mieć duży wpływ podoficerowie. Mam na myśli *śpiew.* Sprawa ta jeszcze nie jest u nas należycie doceniana. Śpiew jest doniosłym czynnikiem wychowania żołnierza, ale tylko wówczas, gdy żołnierz będzie śpiewał odpowiednio dobrane piosenki, podnoszące jego patriotyzm, ducha bojowego i wesoły nastrój. Dotychczasowy repertuar piosenek śpiewanych przez naszych żołnierzy, pozostawia jeszcze wiele do życzenia. Poprawa tego stanu zależy w dużej mierze od podoficerów, którzy najczęściej uczą żołnierza piosenek i którzy mają duży wpływ na to, co żołnierz śpiewa.

To są zasadnicze czynniki, na które podoficer K. O. P., jeżeli chce wypełnić rolę wychowawcy, musi zwrócić swoją uwagę i poświęcić im trochę czasu. Znając podoficerów, zdaję sobie z tego sprawę, że wszyscy mają dobrą wolę wykonania tego wielkiego zadania, jakie na nich ciąży. Zadanie to, jak widzimy, nie ogranicza się tylko do obowiązku wyszkolenia żołnierza, ale sięga dalej, stawia im wyraźnie obowiązki wychowawcy. Jeżeli więc podoficer ma być dobrym pomocnikiem oficera w jego ważnej roli wychowawcy żołnierza, to do wykonania tych obowiązków potrzebne mu będą dwie ważne cnoty: *cierpliwość* i *zapał w pracy*. Te dwie cnoty pokonają wszelkie przeszkody i dadzą w rezultacie znajomość rzeczy, która ułatwi wykonanie zadania.

Fr. Jamka-Koperski

Podoficer jako propagator w terenie

Potrzeby wojska i wojny do tego stopnia zazębiają się obecnie z życiem narodu i kraju, że w wielu wypadkach bieg tego życia już w czasie pokoju musi ulec takiemu uregulowaniu, aby ułatwił on zadanie wojsku na wypadek mobilizacji i wojny.

Zasoby personalne i materiałowe, przygotowane w takim układzie na czas mobilizacji i wojny, nie obejdą się bez pogłębienia ich czynnikami władania i oddziaływania duchowego.

Za nieodzownością wprowadzenia w grę czynników oddziaływania duchowego przemawia charakter wojny „totalny“, a szczególnie fakt, że obywatele Państwa będą zmuszeni do poświęceń i wyrzeczeń się dla celów wojska i wojny o wiele dotkliwszych, niż to miało kiedykolwiek miejsce.

Wszelkie prace, które zmierzają do przygotowania zasobów duchowych i materiałowych Narodu i Państwa na wypadek wojny, nie mogą się obejść bez poparcia propagandowego. Propaganda bowiem jest dzisiaj czynnikiem, zapewniającym zbrojenie moralne Narodu, a stanowi ona także wielką siłę, jako narzędzie skutecznie wspierające wszelkie działania, mające na celu przygotowanie i racjonalne wykorzystanie zasobów materiałowych.

Propaganda rolę tę spełnia przez:

— odpowiednie informowanie społeczeństwa o sprawach dotyczących siły zbrojnej Państwa,

— popularyzację wiedzy wojskowej,

— sugestywne oddziaływanie na obywateli, aby dobrowolnie skłonili się do współdziałania przy realizacji zagadnień z punktu widzenia wojska i wojny.

Wobec braku w Polsce państwowego aparatu propagandy, cały ciężar zadań propagandowych związanych z wojskiem i wojną spada przeto na wojsko.

Oddziaływanie propagandowe we wszystkich dziedzinach potrzeb wojska i wojny rozpada się na:

— propagandę w wojsku i

— propagandę wśród społeczeństwa dla celów wojska i wojny.

O propagandzie w wojsku mówiliśmy już w Biuletynie Oświatowo-Propagandowym nr 11-12/38.

Obecnie chcemy rzucić kilka myśli o propagandzie wojska i wojny wśród społeczeństwa.

Propaganda w tym zakresie powinna objąć wszystkich obywateli.

Specyficzne warunki służby K. O. P. oraz wzgląd, że teren naszego pasa granicznego pierwszy będzie narażony na uderzenie sił nieprzyjacielskich, każą nam już dzisiaj zwrócić baczną uwagę na materiałowe i duchowe przygotowanie przyszłego „terenu operacyjnego". Dzisiaj już przeto w naszym działaniu propagandowym musimy zwrócić uwagę na te wszystkie potrzeby, które mając na celu potrzeby wojska i wojny,

— zazębiają się z interesami prywatnymi obywateli,

— wymagają ich współdziałania przy realizacji poszczególnych problemów,

— stwarzają stan ochotnego ponoszenia jakichkolwiek ciężarów na rzecz wojska i wojny.

Rzecz zrozumiała, że cały szereg świadczeń na rzecz wojska i wojny realizowany jest i będzie nie na drodze skłaniania propagandowego, ale w oparciu na zarządzeniach i ustawach. Jednak i tutaj nie można pozostawić biegowi rzeczy tych dyspozycji i polegać jedynie na dyscyplinie prawnej. Dążeniem wojska musi być, aby nawet przykre i uciążliwe świadczenia, związane z potrzebami wojska i wojny, były dokonane również w oparciu o karność moralną, polegającą na podporządkowaniu się woli władz przez obywatelskie ustosunkowanie się do danego zarządzenia oraz chętne ponoszenie ofiar. Takie ustosunkowanie się obywateli do wszystkiego, co jest związane z potrzebami wojska i wojny, można urobić za pośrednictwem oddziaływania propagandowego.

Jak głęboko może wkraczać w życie obywateli i kraju propaganda celów wojska i wojny, świadczą fakty działania propagandowego np. w państwach totalistycznych, w których obejmuje ona wszystkich obywateli bez względu na wiek i płeć. Czy to jednoczenie młodzieży w organizacji „Balilla", czy udzielanie bezprocentowych i z czasem samoumarzających się pożyczek małżeństwom nowozawieranym oraz premiowanie małżeństw z licznym potomstwem przez faszystowskie Włochy, czy też obowiązkowa służba młodzieży w oddziałach służby pracy (Arbeitsdienst) w narodowo-socjalistycznych Niemczech, czy wreszcie wciąganie obywateli do Ossoawiachimu lub agitacja na rzecz podniesienia wydajności gleby lub tzw. „Ruch Stachanowskij" w sowieckiej Rosji, to nic innego, jak wiązanie jednostek i ich prywatnych interesów z potrzebami wojska i wojny, z potrzebami Państwa, to nic innego, jak podciąganie wszystkich czynników do wspólnego mianownika, któremu na imię — postawa i gotowość bojowa.

Tytuł niniejszego artykułu brzmi: „Podoficer jako propagator w terenie". Co przeto podoficer może i powinien propagować w terenie z tych zagadnień, które mogą przyczynić się do osiągnięcia postawy i gotowości bojowej narodu i kraju?

Życie codzienne nastręcza nam całą masę okazyj, które umiejętnie wykorzystane mogą i napewno przyczynią się do osiągnięcia wytkniętego przez nas celu. Czy to praca w organizacji „Strzelczyk", Harcerstwo, czy to współpraca z takimi organizacjami, jak Strzelec, Młoda Wieś, czy inne wszelkiego rodzaju organizacje młodzieżowe i p. w., czy to współpraca z organizacjami i stowarzyszeniami społecznymi, organizowanie lub pomoc w organizowaniu przysposobienia rolniczego czy innego, kursów gospodarstwa domowego dla kobiet, konkursów dobrego czytania, czy nawet kontakt tylko z pojedyńczymi osobami — wszystko to musi być realizowane pod kątem potrzeb wojska i wojny.

Umiejętne oddziaływanie na te organizacje czy stowarzyszenia musi zmierzać do tego, aby na wypadek zbrojnego konfliktu z nieprzyjacielem, wszyscy ich członkowie, jak jeden mąż stanęli przy żołnierzu polskim, a ze wszystkich miasteczek, osad i wsi już zawczasu uczynili niezdobyte fortece.

W jaki to sposób możemy oddziaływać na mieszkańców pogranicza, aby współdziałali z nami w tym kierunku?

Okazyj w czasie zbrojnego konfliktu znajdą oni po temu bardzo wiele. Na przykład dziś już powinniśmy zapoznawać naszych cywilnych sąsiadów z niebezpieczeństwem wojny lotniczej. W czasie działań wojennych wróg może nie tylko wkraczać do naszych wsi i miasteczek, lecz może on

znaleźć się między nami niespodziewanie, w głębi kraju, na tyłach naszych oddziałów walczących na froncie. Spaść on może po prostu z nieba. I dlatego już obecnie powinniśmy zapoznawać szerokie masy społeczeństwa z niebezpieczeństwem, jakim jest desant lotniczy. O tym nowym środku bojowym powinien dziś wiedzieć każdy obywatel polski. Jego też powinniśmy uświadomić o tym co powinien czynić i jak się zachować wobec lądujących nieprzyjacielskich oddziałów spadochronowych lub pojedyńczych osób. Dziś już musimy wpoić w mieszkańców pogranicza przeświadczenie, że powinni oni tępić w niemiłosierny sposób takich napastników spadłych z powietrza, oni bowiem chcą skrycie, zdradziecko, z tyłu zadać cios naszym oddziałom walczącym.

W pracy propagandowej musimy uświadamiać społeczeństwo, że w czasie wojny całe życie w kraju musi być dostosowane do jednego największego celu — do potrzeb żołnierza i frontu. Front bez należytej pracy tyłów nie może dobrze walczyć. Lotnictwo nieprzyjacielskie nie pokona nas, może jednak ono w dużym stopniu zdezorganizować naszą pracę dla frontu i w ten sposób nas osłabić. A wówczas żołnierz, który wskutek dezorganizacji życia nie otrzyma czego należy, albo będzie musiał się zbyt wiele troszczyć o los pozostawionych rodzin, narażonych na napady lotnicze, może stracić ducha.

Taką może być rzeczywistość w czasie wojny. A więc co? Mamy opuścić ręce i czekać, poddać się wrogiej przemocy idącej z powietrza? Nie! Musimy się umieć bronić przed nieprzyjacielem siejącym zniszczenie z nieba.

I tutaj mamy bardzo wdzięczne pole do propagowania obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej. Jeżeli będziemy umieli się zastosować do wskazań O. P. L. i O. P. Gaz. — nieprzyjaciel z nieba nie zdezorganizuje nam życia. Wobec tego dziś już, wszyscy musimy się nauczyć wielu takich rzeczy, które dawniej obchodziły tylko żołnierza walczącego na froncie.

Musimy być zawczasu gotowi do ciągłości pracy w razie napadu lotniczego. Pod tym względem nie wolno nam niczego zaniedbywać, gdyż tylko dobre przygotowanie O. P. L. i O. P. Gaz. może nam taką pracę umożliwić i zapewnić normalny tryb życia.

Musimy zwalczać w społeczeństwie opinię, że wystarczy zabrać się do nabycia tych umiejętności i przygotowania obrony przeciwko nieprzyjacielskim samolotom i gazom z chwilą zapowiedzi wojny. Wojny wybuchają teraz też bez zapowiedzi, a wypowiedzeniem wojny może być właśnie napad lotniczy.

W dziedzinie O. P. L. i O. P. Gaz. każdy obywatel nawet najmniejszego osiedla będzie miał coś do zrobienia. Trzeba przeto przekonywać ludzi, że naród będzie wówczas przygotowany do obrony, jeżeli będzie do niej przygotowany każdy obywatel z osobna. Dopiero zbiorowy wysiłek jednostek, zbiorowa i zorganizowana wola wzięte razem mogą nam zapewnić należyte przygotowanie i dać skuteczny odpór napadom z powietrza.

Powyższe, aczkolwiek pobieżne tylko rozważenie jednego wprawdzie tylko niebezpieczeństwa, bo wypływającego z nalotu samolotów nieprzyjacielskich, nasuwa nam już cały szereg tematów do rozmów, których treścią będzie O. P. L. i O. P. Gaz.

Umiejętnie i rzeczowo przedstawione niebezpieczeństwo nalotu nieprzyjacielskiego napewno nasunie naszym rozmówcom czy słuchaczom myśli o konieczności budowy schronów, przystosowaniu istniejących już piwnic na schrony, zabezpieczeniu strychów przed pożarem, mogącym wyniknąć na skutek wybuchu bomby lotniczej, uszczelnianiu drzwi i okien przed dostaniem się gazów, zabezpieczeniu żywności przed działaniem gazów trujących itp.

Takie i podobne tematy powinniśmy przeto poruszać w naszych rozmowach z naszymi cywilnymi sąsiadami, sugerując im równocześnie konieczność realizowania takich inwestycyj.

W dalszym ciągu naszej działalności propagandowej, musimy wyjaśniać mieszkańcom pogranicza ścisły związek między życiem gospodarczym, a potrzebami wojska i wojny. Musimy ich przekonać, że tylko spotęgowanie ilości i wydajności pracy każdego obywatela w Polsce stworzy podstawy naszej mocarstwowości i da nam siłę materialną.

Jak by się zmieniło oblicze Polski, gdyby każdy jej obywatel postanowił sobie powiększyć o pewien procent wydajność swej pracy, gdyby na przykład każdy hektar dał przynajmniej o 3 q więcej zboża, a każda krowa o 10 litrów mleka więcej, gdyby rzemieślnik, robotnik, pracownik umysłowy czy kupiec wydatniej pracowali.

Dla Państwa i dla wojska nie jest obojętnym, czy i jak wydajnie pracuje obywatel przy swoim warsztacie pracy. Praca musi być taka, aby dawała nam siłę, aby zaspokoiła potrzeby wojska i Narodu, by dała wielką nadwyżkę produktów na wywóz.

Zagadnienie higieny wsi. Oto również niezmiernie ważne ogniwo w łańcuchu naszych prac propagandowych.

Polsce potrzeba zdrowych i silnych fizycznie obywateli. Tacy natomiast mogą wyrosnąć tylko w środowiskach, w których przestrzega się najważniejszych przynajmniej zasad higieny. Czyste ciało, bielizna i ubra-

nie, czysta izba, wybielone chaty, zamiecione podwórze, należycie wybudowana studnia, racjonalnie urządzone gnojowisko, wspólna łaźnia wiejska itd. — oto środki do osiągnięcia tężyzny fizycznej i zdrowia.

Charłactwo fizyczne — to zguba narodu. W ciele schorzałym nie będzie zdrowego ducha, bo taki w zdrowym tylko gości ciele.

Dalszym z kolei wskazaniem w naszej pracy prapagandowej, prowadzonej zgodnie z najwyższym zadaniem wojska, zadaniem organizowania obrony kraju, będzie wzbudzanie, utrwalanie i podtrzymywanie przychylnych dla wojska nastrojów oraz przywiązania do Państwa Polskiego.

Nie będziemy tutaj z braku miejsca omawiali form i metod, jakie należy stosować specjalnie w tym dziale pracy propagandowej. Omawiają je dostatecznie obowiązujące w K. O. P. rozkazy. Do nich więc zaglądnijmy.

A wykrywanie, zwalczanie i unicestwianie wszelkich demagogicznych wichrzeń i podstępnej roboty wywrotowej, oraz wrogich względem wojska i Państwa nastrojów — czyż to nie wdzięczne pole dla pracy propagandowej podoficera K. O. P.? Albo propaganda całego szeregu jeszcze innych, na pozór – zdawało by się—błahych i luźno związanych z wojskiem i wojną zagadnień, jak: hodowla rasowego bydła, dobrych koni, budowa znormalizowanych wozów gospodarskich, konieczność posiadania dobrej uprzęży itd. Czyż to wszystko nie może być podciągnięte pod potrzeby przyszłych naszych zmagań zbrojnych?

Trudno jest na tym miejscu omówić wszystkie szczegóły naszej pracy propagandowej w społeczeństwie. Wystarczy, jeżeli sformułujemy na tym miejscu najważniejsze przesłanki, jakimi powinniśmy się kierować w propagowaniu wśród społeczeństwa zagadnień, związanych z interesami wojska i kraju.

Według zgodnej opinii autorów wojskowych zagadnienia powyższe można ująć następująco:

1) Przede wszystkim propaganda wojskowa powinna wyrabiać w społeczeństwie ducha wojennego, tj. ducha obrony zaczepnej, nie zaś biernej. Nie ma to nic wspólnego z pobrzękiwaniem szablą, ani z militarystyczną fanfaronadą.

W społeczeństwo trzeba wpajać przekonanie, że do każdej narzuconej nam wojny przystąpimy z pełną gotowością dla dania nauczki napastnikowi.

2) Powinno się podkreślać, że gotowość ta będzie tylko wówczas istotna i skuteczna, jeżeli będziemy zdawać sobie sprawę z tych konieczności, które już dzisiaj, podczas pokoju, są związane z przygotowaniem obrony kraju, i gdy koniecznościom tym uczynimy zadość — co wymaga nieustannego wysiłku ze strony społeczeństwa.

Jeżeli przy tej sposobności zwracać będziemy uwagę na wielkie i nieustanne zbrojenia sąsiadów, musimy to zrobić w sposób nie wywołujący deprymujących alarmów. Umiar w ujmowaniu tych spraw wymaga wielkiej rozwagi i umiejętności wnikania w psychikę, zwłaszcza mas, a jest potrzebny i z tego powodu, aby się nie popadło w drugą skrajność — usypiania czujności społeczeństwa. Oba powyższe błędy popełnia się najczęściej np. przy popularyzowaniu zagadnień obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej.

3) Nie straszyć liczbami, ani przesadnym ujmowaniem skutków nowoczesnych środków walki; przeciwstawiać im środki zaradcze już istniejące, bądź też będące w toku przygotowań (patrz wyżej ustęp o budowie schronów itd.).

4) Popularyzować wojsko stałe, wyrabiać doń szacunek i sympatię, jako do szkoły charakterów, patriotyzmu i obowiązkowości. Osiągnąć to można przez informowanie społeczeństwa o wojsku, jego życiu i sprawach, oczywiście w sposób nie kolidujący z tajemnicą wojskową.

Jak zdołaliśmy się zapewne zorientować z powyższych, aczkolwiek krótkich rozważań na temat akcji propagandowej, prowadzonej przez wojsko wśród społeczeństwa, musimy dojść do wniosku, że każdy z nas ma niezliczoną ilość okazyj i możliwości do realizowania tak pojętej akcji propagandowej. Mają je zwłaszcza dowódcy strażnic, jedyni często i świadomi potrzeb takiej pracy obywatele, rzuceni w morze ciemnych mas, nie doceniających wagi zagadnień na pozór błahych, a w rzeczywistości tak ważnych dla narodu i Państwa.

Dając tytuł tej pracy: „Podoficer jako propagator w terenie" — dowódców strażnic mieliśmy przede wszystkim na myśli.

Ich rozważaniom przeto w pierwszym rzędzie polecamy przytoczone wyżej myśli.

P.

Czytamy »W roztokach« Wł. Orkana

Powieść W. Orkana „W roztokach" jest drugą, która otrzymała obecnie dla potrzeb czytelników Żołnierskich Bibliotek Ruchomych K. O. P. oddzielne opracowanie metodyczne.

Kiedy pierwszą taką powieścią była Trylogia H. Sienkiewicza, wybór tej powieści Orkana jako drugiej stawiać by ją zdawał się w pojęciu K. O. P. na bardzo poczesnym miejscu.

Niewątpliwie, że „W roztokach" jest bardzo poważnym i trwałym zjawiskiem literackim, lecz nie literacka jej wartość zdecydowała o tym sąsiedztwie jej z Trylogią.

Sąsiedztwo to wynikło z wychowawczo-metodycznych założeń.

W Trylogii widzimy znakomitą ilustrację *żołnierskiego* dramatu Rzeczypospolitej oraz przegląd ówczesnych licznych zalet i mniej licznych wad żołnierza polskiego.

W powieści „W roztokach“ widzimy takąż ilustrację *społecznego* dramatu pojedyńczej wsi oraz za lapidarny może, ale tym niemniej mocny w wyrazie, przegląd ówczesnych licznych wad i mniej licznych zalet obywatela polskiego.

Dramat Wielkiej Rzeczypospolitej zamknięty w Trylogii niech będzie punktem wyjścia katechizmu dla żołnierza polskiego.

Dramat małej wioski niech posłuży za podstawę do wyłuskiwania prawd katechizmowych dla polskiego obywatela — pracownika społecznego. Tym lepszą będą one stanowiły do tego podstawę, że na dziś już zbyt jaskrawe stosunki społeczne „W roztokach“ dają jednak klasyczny dla nas przykład form zacofania oraz niemniej klasyczny przykład błędów popełnionych przez naszych pionierów - społeczników. Wyszukiwanie więc prawd działania społecznego będzie tu odbywało się przez szukanie, drogą refleksyj, rozwiązań przeciwnych próbom Rakoczego.

Dwa więc oblicza zagadnienia wychowawczego w K. O. P., usymbolizowane w słowie „żołnierz“ i w słowie „obywatel“, każą Trylogii i „W roztokach“ sąsiadować z sobą w każdej szafce bibliotecznej K. O. P., dokąd, po zaopatrzeniu ich w Trylogię, wędruje teraz 400 egz. „W roztokach“.

Praca dra Fr. Mleczki, syna wsi z wykształceniem polonisty, a z zawodu i za miłowania oświatowca, spełni rolę przewodnika literackiego i metodycznego dla „W roztokach“, tak jak dla Trylogii spełnia ją broszurka Ordyńca i Sidorczuka „Czytamy Trylogię“.

Różnica między nimi polega na tym, że w pracy o „W roztokach“ opuszczono celowo partie omawiające całokształt metod propagandy czytelnictwa w K. O. P., które zostały wyczerpująco omówione w poprzedniej broszurce.

Przy propagandzie „W roztokach“ pamiętać jednak należy o tym, że nadaje się ona przede wszystkim dla najbardziej wyrobionych czytelników, podczas gdy Trylogię dajemy — przeciwnie — w formie nawet głośnego czytania całości — czytelnikom wszystkim — bez wyjątku.

Redakcja

1. *Życiorys autora.*

Franciszek Smreczyński, znany nam jako poeta i powieściopisarz pod pseudonimem: Władysław Orkan, urodził się w dniu 27 listopada 1876 r. we wsi Poręba Wielka (na granicy powiatów limanowskiego i nowotarskiego) z rodziców, którzy mieli i drugie — jak zwykle u górali — nazwisko Szmaciarzy. Do dziesiątego roku życia przebywał Orkan w domu, uczestnicząc w doli i niedoli niezamożnej swej rodziny chłopskiej. Już lata wczesnego dzieciństwa wywarły snać na niego głęboki wpływ, skoro w każdym niemal utworze spotykamy później liczne wspomnienia jego wiejskiej „pasionki“ [1]). Przy charakterystycznym odgłosie zawieszonych na szyjach owiec dzwonków, zapatrzony w granitowy masyw Tatr

[1]) Okresu, gdy dziecko wiejskie zajmuje się pasieniem bydła.

— dumał już widać wtedy Orkan o czekającej go w przyszłości pracy i sławie, zespolając się całym swym sercem ze wsią rodzinną i z całym Podhalem.

Niepospolity umysł przeczuła u Franusia przede wszystkim jego matka. Czerpiąc swe macierzyńskie natchnienie z Biblii, na której nauczyła się czytać i z którą się nigdy nie rozstawała, postanowiła za wszelką cenę dalej kształcić ukochanego swego syna. Bohaterskie jej wysiłki w tym kierunku opisał później inny pisarz — Ignacy Maciejowski (Sewer) — w powieści pt. „Matka". Orkan kończy więc gimnazjum i uniwersytet w Krakowie, a następnie osiada na stałe z matką w rodzinnej Porębie. Tu powstały też kolejno wszystkie niemal jego utwory, niosąc „hyr" [1]) o pisarzu po skalnym Podhalu i po całej Polsce.

A kiedy w przededniu wojny światowej co dzielniejsi i bardziej świadomi synowie gór poczęli się skrzykiwać w szeregi Drużyn Podhalańskich, które wkrótce wejść miały w skład Legionów Polskich, stanął do apelu i Władysław Orkan jako oficer 4 pułku Legionów („Czwartacy"). Wprawdzie podczas wojny nie pora zajmować się poezją, jak powiadali starożytni Rzymianie, to jednak pisarz nasz — podobnie jak i inni poeci legionowi —głębiej i żywiej od innych przechodził los i trudy bojowników o wolność, i następnie doznane wrażenia i poczynione obserwacje opisywał m. in. w „Drodze czwartaków".

W roku 1928 Uniwersytet Jagielloński w Krakowie specjalną akademią uczcił 30-lecie pracy pisarskiej Orkana. Wówczas to obok sławnego swego syna zasiadła i dzielna matka, a jubilat wskazywał na nią jako na tę, której wszystko zawdzięcza. Widok czcigodnej staruszki — góralki, zaś przy niej pieśniarza „krainy kęp i wiecznej nędzy" — do łez wzruszył obecnych.

Niedługo przed śmiercią otrzymał Wł. Orkan nagrodę literacką m. Warszawy. Zmarł 14 maja 1930 r. w Krakowie, skąd po niejakim czasie z tymczasowego grobu przewieziono zwłoki Wielkiego Syna Podhala do grobowca na starym cmentarzu w Zakopanem.

2. *Zarys twórczości literackiej.*

Orkana znamy na ogół tylko jako powieściopisarza, lecz był on przede wszystkim poetą, a ponadto dramaturgiem i publicystą.

Talent jego pisarski ujawnił się na ławie gimnazjalnej, kiedy to młodziutki poeta począł zdumiewać kolegów i profesorów wcale udałymi próbami wierszowymi.

---

[1]) Wieść.

Opodal Poręby Wielkiej w Ludźmierzu gazdował w swoim majątku Kazimierz Przerwa-Tetmajer, pan z panów, a przy tym niepospolity i znany już wtenczas w całej Polsce poeta. Ludźmirski dwór Tetmajerów znany był w okolicy z powodu swego demokratycznego nastawienia. Najwięcej może rozgłosu narobił jednak ożenek Włodzimierza Tetmajera (brata wyżej wspomnianego Kazimierza) z córką gospodarza Mikołajczyka w Bronowicach pod Krakowem. Nic więc dziwnego, że młody Orkan często odwiedzał Ludźmierz, gdzie Kazimierz Tetmajer sposobił się do napisania najgłośniejszego swego dzieła — „Na skalnym Podhalu". Jemu to właśnie Orkan wręczył pierwszy tom nowel (1897 r.), prosząc o zdanie i pomoc. Tetmajer powiózł rękopis swego krajana do Warszawy i z zapałem przyjął na siebie miły obowiązek literackiego ojca chrzestnego, gdyż wszystko przemawiało za tym, że chrześniak nie zawiedzie pokładanych w nim nadziei.

Orkan od pierwszej chwili wrósł jako pisarz mocnymi korzeniami w rodzinną okolicę i stał się — obok K. Tetmajera — jej największym piewcą. Nie rozczulał się jednak nad wsią, jak to było w zwyczaju u pisarzy nie ze wsi pochodzących, nie zachwycał się tylko barwnością chłopskiej odświętności, lecz począł szukać w ludzie — prawdy. Począł służyć środowisku, z którego wyszedł i któremu całą swą twórczość poświęcił. Toteż we wszystkich jego utworach na plan pierwszy wybija się idea walki z nędzą i bezradnością, a chociaż poszczególni bohaterowie powieści czy dramatów padają zwyciężeni przeciwnościami, to jednak myśl o lepszym jutrze, wypracowanym w trudzie i znoju dnia codziennego — nie opuszcza nas ani na chwilę przy czytaniu dzieł Orkana.

Całość pism, uszeregowanych wedle rodzajów literackich, przedstawia się następująco:

1. *Nowele:* „Nowele", 1898; „Nad urwiskiem", 1900; „Herkules nowożytny", 1905; „Miłość pasterska", 1909; „Wesele Prometeusza",1921.

2. *Powieści:* „Komornicy", 1901; „W roztokach", 1903; „Pomór", 1910; „Drzewiej", 1912; „Kostka Napierski", 1925.

3. *Dramaty:* „Skapany świat", 1902; „Wina i kara", 1905; „Ofiara", 1905; „Franek Rakoczy", 1908.

4. *Poezje:* „Z tej smutnej ziemi", 1903; „Z martwej roztoki", 1911; „Pieśni czasu", 1916.

5. *Pisma przygodne:* „Drogą czwartaków", 1916; „Listy ze wsi", t. I. 1925; t. II.1927; „Warta", 1926; „Wskazania", 1930.

Po przeczytaniu najważniejszej powieści Orkana „W roztokach" spośród wymienionych wyżej dzieł Orkana specjalnie godne są uwagi dla

czytelnika pochodzącego ze wsi — powieść „Drzewiej“ [1]) oraz „Listy ze wsi“, w których autor wyraził całość swoich poglądów na wieś i chłopa. Do tej chwili, obok pism Stanisława Witkiewicza („Na przełęczy“, „Z Tatr“), „Listy ze wsi“ Orkana są jedyną tego rodzaju książką o wsi (w szczególności góralskiej), o stosunku wzajemnym do siebie wsi i miasta, o wadach i zaletach chłopów, o drogach postępu wiejskiego. „Drzewiej“ nie nasuwa wprawdzie wielu myśli społecznych, nie uczy, jak wiele innych utworów Orkana, lecz głęboko wzrusza. Wydaje się nam, że autor, mając już dość opisywania ciężkiej rzeczywistości roztok goreckich [2]), zapragnął choć na chwilę odwrócić uwagę swoją od dzisiejszości i dlatego cofnął się w głęboką przeszłość, kiedy to zaledwie rodzina pasiecznika Cichorza, przybywająca z północy, zamąciła spokój uroczej, pełnej wszelakiego zwierza puszczy w Gorcach. Otóż „Drzewiej“ jest ze znanych powieści tego typu chyba najpiękniejszą. Mimo woli nasuwa się przy tej sposobności na myśl „Księga puszczy“ Rudyarda Kiplinga i „Gody życia“ naszego Adolfa Dygasińskiego, czy wreszcie „Cudowna podróż“ Selmy Lagerlöf.

3. „W Roztokach“ jako powieść społeczna.

Z powyższego wyliczenia dzieł wynika, że „W roztokach“ jest wczesnym utworem Orkana. Napisał on tę powieść, licząc... 25 lat życia.

Akcja utworu toczy się w jednej z roztok, które przecinają zbocza gniazda górskiego, zwanego Gorcami, z najwyższym szczytem Turbaczem na czele. W Przysłopiu, rozłożonym jak wszystkie wsie tutejsze, na zboczach głębokiej roztoki, wójtuje już od niepamiętnych czasów podeszły wiekiem Suhaj, opierający się w swych dowolnych rządach na kilku miejscowych rodach góralskich. Panowanie starego Suhaja stało się już tematem pieśni:

„Hej!... idzie woda, idzie, po kamieniach spada,
o starym Suhaju cuda opowiada...“

Przysłopscy chłopi szczycili się swoim wójtem: „Bo choć on ta niepiśmienny — mówili — ale swój rozum ma i nikogo się o radę nie pyta...“. Ma... „wójtowski łeb! nie na wszy...“. Toteż Suhaj, rozparty we wsi jak dąb stuletni, nie dopuszczał do współpracy ze sobą nikogo, a szczególnie

---

[1]) To zn. w gwarze góralskiej — dawniej.

[2]) Wąwozy w zboczach gór Gorców nazywają się roztokami.

krzywym okiem spoglądał na młodych, którzy by chętnie potargali nałożone im przez zaśniedziałą tradycję wędzidła.

Otóż w walce młodych ze starymi naprzeciwko Suhaja staje Franek Rakoczy. „Ten by się i diabła samego nie uląkł, a nie to — Suhaja. Wygląda jak sam święty Michał na obrazie. Kieby ino zbroję na się przywdział: rycerz i rycerz...“ Siłę fizyczną dała Frankowi szczodra dla niego nad wyraz natura, zaś pojęcia szersze o życiu i świecie zdobył już sam dzięki książkom. Matka posłała go nawet do szkół, gdyż marzyła o pańskiej lub księżej karierze dla jedynaka (bo — wiecie — „więcej dzieci prócz Franusia Bóg jej nie nagodził“; miała więc jedno „dziecko“ i... córkę [1]), którą wydała za Jędrzeja Niepilaka. Po śmierci matki, kiedy brakło już środków na naukę, Franek musiał ze szkół wracać do domu i jąć się pierwszej lepszej roboty — jak to na gospodarstwie. A wolnymi chwilami czytywał, co „mu bardzo za złe mieli gazdowie starzy“, zaś karczmę omijał z daleka. Do czasu nie interesował się sprawami gminnymi, ale nadeszła chwila, kiedy postanowił oddziaływać czynnie na panujące w Przysłopiu stosunki. Zaglądał więc coraz częściej do Suhaja, tym bardziej że upodobał sobie wielce Hanusię, córkę wójtową...

W tym czasie przyszedł do Przysłopia nakaz wybrania przez całą gromadę dwóch przedstawicieli wsi [2]), którzy z kolei, na zgromadzeniu powiatowym, mieli wybierać posłów do parlamentu austriackiego (wybory pośrednie). Suhaj zwołał reprezentantów co większych rodów, niby o radę pytając, a w istocie chcąc wybadać nastroje w przeczuciu starć nadchodzących z niezamożnym ogółem chłopów, na czele których samorzutnie stanął już Rakoczy. Nagle zjawia się na radzie sam Rakoczy i orientując się dobrze w bezprawiu wójta, wyrzuca jemu oraz obecnym gazdom, że mają na oku tylko własne dobro, które wcale nie jest dobrem ogółu obywateli. „Wyście w harendę wzięli sprawy gminne“... woła do obecnych. „Kto za gminę staje, niechaj baczy, że odpowiedzialność gromadzka na nim ciąży. Tu zwołać trzeba wszystkich! I młodych i starych i rodowych i nierodowych, bo to wszystko jedno! Każdy rodzony przecie i umierać musi!“.

Atoli Suhaj, ufny w swą wójtowską powagę i poparcie rodów, zlekceważył wystąpienie i żądania Rakoczego. Rozpocznie się walka, w której po jednej stronie staną bogaci z Suhajem, po drugiej zaś niezamożni i ko-

---

[1]) Bo, jak zwykle na wsi, tylko syn uważany jest za korzystny nabytek, „prawdziwe dziecko“.

[2]) Tzw. wtedy prawyborców.

mornicy z Rakoczym na przedzie. „Albo się gmina przeinaczy, abo ja padnę“ — mówi do siebie Franek, wracając z rady.

Źródłem jego mocy jest miłość do Hanusi, która — niestety — zupełnie Franka nie rozumie i za wszelką cenę odwrócić chce jego uwagę od spraw społecznych, natomiast — po dziewczęcemu zapatrzona w szczęście swoje z Frankiem — domaga się od niego przyrzeczenia, że zażąda od siostry i szwagra połowy przypadającego nań majątku.

Tymczasem jednak partia Suhaja zwycięża i komornicy, a wśród nich i Rakoczy, zostają pozbawieni możności wpływania na przebieg wyborów do sejmu. Kiedy Franek staje teraz oko w oko z despotycznym wójtem i wzywa go do opamiętania się w swych samolubnych i szkodliwych dla ogółu poczynaniach, Suhaj — aby złamać moralnie przeciwnika — oświadcza, że córka jego nigdy żoną Rakoczego nie zostanie. Pozostaje więc jedyna jeszcze droga: pójść za radą ukochanej i otrzymawszy od szwagra połowę gospodarstwa lub spłatę, usamodzielnić się wobec Suhaja jako ojca Hanusi.

I tu poczyna się seria niepowodzeń Franka. Ulegając ciągłym namowom Hanusi, wybiera się on do sądu ze skargą na szwagra o zwrot spadku. Po drodze spotyka jednak mnóstwo ludzi, z których każdy również niesie swoje osobiste krzywdy przed oblicze sądu. Wypłakują się oni przed nim po kolei. Wstrząśnięty tym bezmiarem krzywd wzajemnych i wzajemnej nienawiści wśród i tak biednego ludu, nienawiści, która jest dla wsi największą przeszkodą w walce o postęp, powstrzymuje się Franek przed procesem z własną siostrą i szwagrem. Chce dać przykład. Najęwszy się do wyrębu ubocza leśnego, zamieszkał teraz w opuszczonej ruderze Huciska i z zapamiętałością rzucił się do pracy. Osamotniony, pozostawiony wyłącznie własnym rojeniom o szczęściu rodzinnej wsi, znajduje od czasu do czasu zapomnienie przy boku Hanusi, która w niedzielne popołudnia wymyka się z domu w stronę Huciska. W miarę jednak tego, jak Franek gubi się cały w marzeniach o radykalnym i nagłym uszczęśliwieniu Przysłopia, Hanusia coraz bardziej odsuwa się od niego, aż w końcu... godzi się wyjść za mąż za brzydkiego ale bogatego Cichańskiego. Dowiaduje się o tym Rakoczy w kościele, podczas czytania zapowiedzi, kiedy opuścił już Hucisko i przyszedł do wsi, ażeby przed gromadą roztoczyć swoje własne plany odrodzenia Przysłopia.

Pod straszliwym wrażeniem odsunięcia się odeń wszystkich i śmiertelnego osamotnienia opuszcza wieś rodzinną i wyjeżdża do Siedmiogrodu na robotę.

Tak się przedstawia główny wątek powieściowy „W roztokach".

Widzimy stąd, że istotną treścią tej powieści nie jest miłość pomiędzy Frankiem a Hanusią, lecz zadrażnienia społeczne pomiędzy dwoma pokoleniami i dwoma ich przedstawicielami: Rakoczym i Suhajem. Historia zawiedzionej miłości bohatera, jego kłopoty ze szwagrem Niepilakiem, postać Antoniego Diabła, Cyrka i Drozda — to wszystko tylko dopełnienie zasadniczej sprawy: co czynić, ażeby zniknęło zło, ażeby przed wsią otworzyć nowe drogi rozwoju. Niewątpliwie gorąco odczuwający wszelką niedolę drugich, stawiał sobie samemu podobne pytanie młodziutki autor tej powieści. W okresie pisania *„W roztokach"* odpowiedzi upragnionej znaleźć jeszcze nie zdołał, *pomysły bowiem, które podszepnął wtedy Rakoczemu, z góry skazane być miały na zagładę, jako niemożliwe do wykonania, gdyż w miejsce piekła nienawiści między bogatymi i biednymi wprowadziłyby piekło niweczącej wszelką samodzielność wspólnoty rolnej.*

Nic też dziwnego, że Orkan, jakkolwiek bynajmniej sympatiami swymi nie był po stronie wójta Suhaja, bez wahania przecież *odrzucił stanowisko radykalne Rakoczego.* Na to, co w takim razie czynić, odpowiedział sobie autor znacznie później: w „Listach ze wsi" i we „Wskazaniach". *Oświata, spółdzielność, sprawiedliwość w życiu społecznym, poszanowanie dla rodzimego dorobku kultury* (regionalizm), *poczucie honoru i godności ludzkiej* — oto pozytywne drogi zmian na lepsze. Przekształcić stosunki na wsi można tylko w sposób przemyślany i stopniowo, przez podniesienie najpierw samego siebie, czyli swego charakteru. Rakoczy postępuje podobnie jak źrebiec, zaprzężony po raz pierwszy do dyszla: staje dęba i chce galopem przesadzić tę przestrzeń, którą przebywać należy miarowym krokiem. Sympatyczny jest ten Franek, zdołamy go polubić w ciągu czytania powieści, ba! źli jesteśmy na Hankę, że tak szybko zdecydowała się wyjść za „woli łeb" — Cichańskiego — ale tym niemniej dążenia Rakoczego do reform nazwiemy raczej rozpaczliwym rzucaniem się niż roztropnym i trzeźwym podchodzeniem do sprawy.

Na tym nie kończą się nasze wnioski z tej powieści. *„W Roztokach"*, jako powieść społeczna, zawiera dużo spostrzeżeń na temat stosunków, jakie wiążą ludzi między sobą. Weźmy dla przykładu nastrój, jaki panuje w rodzinie Jędrzeja Niepilaka. Mąż Zośki wygląda na niemrawego, a przecież za szczyt swojego „chłopskiego" honoru uważa despotyczne postępowanie z „babą", która wszystek swój spryt wysilać musi, ażeby uzyskać pozwolenie na tak drobną rzecz jak udanie się na odpust do Ludźmierza. I na odwrót. Są sytuacje, kiedy ona właściwie bije i wypędza męża z domu w jakiś czas potem. Nie wchodząc w to, czy słusznie czy niesłusznie

postąpiła Zośka, stwierdzić musimy, że sytuacje takie są istotnie na wsi częste i żal nam serce ściska, kiedy na pożycie Niepilaków popatrzymy oczyma posmutniałej przedwcześnie i zwarzonej w swym dzieciństwie ich córeczki Marysi. Tyle myśli budzi w nas tak poważne zagadnienie dobrego pożycia małżonków w rodzinie wiejskiej. O ileż trudniejszą i ważniejszą sprawą jest więc współpraca i zgoda całej gromady. Zestawmy to, co znane nam jest z doświadczenia w naszej miejscowości z tym, co Orkan zauważył w Przysłopiu. Na pewno wiele się już zmieniło od r. 1900 — na lepsze. I Suhajowie nauczyli się szanować wolę wszystkich obywateli w gromadzie, a Zośki i Hanki nie wychodzą (mając zwłaszcza majątek w ręku, jak w powieści Orkana!) za niekochanych Cichańskich i Niepilaków. Ale niejedno nie zmieniło się też i dotąd, choć zmiany tej koniecznie wymaga.

Na tle takiego obrazu życia wiejskiego wskazuje autor dwa następujące źródła złego na wsi. Jednym z nich jest *niska jeszcze oświata*, drugim — *nieumiejętność łączenia się w dążeniu do wspólnego dobra:* „Ale człowiek naski to tak: rękami będzie myślał zamiast głową. To się też jak wół narobi, ręce do łokci poudziera, i to wszystko na skapane“. A wnet potem dodaje: *„Gromada wielka siła! Uważcie, co by to za dobro było, jakby wszyscy ku jednemu szli — ku dobru wszystkich... Wtedy człek by się nie bał jutra, niczego na świecie, ino jednego Boga i sumienia“.*

Zastanawiając się nad poszczególnymi postaciami omawianej powieści, dochodzimy do wniosku, że o ile Suhaj, jako przedstawiciel dawnego światopoglądu, dawnych obyczajów i dawnych, krzywdzących stosunków, jest mocnym i skutecznym tych stosunków obrońcą, to przywódca ruchu młodych i pokrzywdzonych Rakoczy nie może wykazać się ani równowagą, ani siłą, ani skutecznością swoich zabiegów. Przerost uczucia, marzycielstwo, brak spokoju, nierówność i bezplanowość jego postępowania są tak od pierwszej chwili uderzające w oczy, że z góry nie wróżymy, choć życzymy mu, zwycięstwa.

Ta smutna historia pracy społecznej Rakoczego tym bardziej jest dla młodego działacza wiejskiego pouczająca.

Przede wszystkim widzimy tu, że *dużo łatwiej jest opóźniać postęp niż go przyśpieszać.* Przy opóźnianiu postępu, przy obronie starych urządzeń, są te urządzenia zupełnie określone, znane, sprawdzone i nie grożą żadnym ryzykiem. Jeżeli znamy ich liczniejsze wady i mniej liczne zalety, to jednak dokładnie wiemy, że znajduje się tam przynajmniej i na pewno tylko tyle zalet, ile ich jest, i to minimum gwarancji stanowi dla ludzi spokojnych i nie lubiących ryzyka większą realną wartość (w ich pojęciu) niż

urządzenia nowe, o których większej użyteczności jeszcze nie zdołali się przekonać.

Następnie musimy z góry przygotować się na pewność, że praca nad postępem wsi wymaga bardzo dużego i wszechstronnego wysiłku, który należy bardzo umiejętnie stosować, a niepowodzeniami się nie zrażać.

Plany Rakoczego oceniamy dziś po wielu, bo 35 latach od powstania tej powieści, jako fałszywe. Nie sztuka dojść do tego wniosku teraz, po tylu latach. Trzeba pamiętać, że Franek nie miał w swej wsi poprzedników swojej pracy, że był dopiero pionierem. Każda bez mała wieś przeżyła (czy nawet i dziś czasem przeżywa) te czasy. Każda miała swego Franka Rakoczego, „który padł wśród zawodu, by innym dać szczebel do sławy grodu" — jak mówi Adam Mickiewicz.

Dlatego musimy te pionierskie wysiłki różnych Rakoczych uszanować, jak czcimy każdy pierwszy bój z przemożnym wrogiem. Pod osłoną tego boju, wstrzymującego największy napór przeciwnika, uszykują się bowiem dalsze siły, zawczasu i należycie, tak aby osiągnąć zwycięstwo.

Zwycięstwo jest szczęściem. Nie byłoby nim, gdyby żołnierze z góry wiedzieli, że żaden z nich nie padnie i że wszyscy wkroczą tryumfalnie do twierdzy.

Dlatego każdy społecznik, jako żołnierz postępu, powinien odważnie przygotować się na los Rakoczego, a tym szczęśliwszy się poczuje, gdy tego losu uniknie. Bo najlepszy nawet plan może w boju zawieść.

Zwycięstwo postępu wsi polskiej kosztuje drogo, więc tym bardziej nie wolno się cofać.

Zwróćmy teraz oczy na czysto artystyczną wartość Orkanowego dzieła. Przede wszystkim budzą w nas zachwyt język i styl „W roztokach". Przykładów wiele można by przytoczyć, ale charakterystyczny widzi mi się i ten: „Pomiarkował wnet, że w ten sposób niczego nie dojdzie. Trzeba gwarę odwrócić, jak serdak podczas deszczu, kudłami na wierzch". Rozumiemy, o co chodzi. Często autor mówi do nas obrazami w licznych porównaniach, przez co rzecz się uwypukla, ożywia, nabiera barw. Taki sposób wyrażania się znamy z życia codziennego. Jeden z pamiętnikarzy-chłopów („Pamiętniki chłopów", 1935 r.), chcąc podkreślić, że kogoś złe odżywianie wycieńczyło do ostatka, powiedział: „wygląda jak śmierć na chorągwi". Orkan jest mistrzem w pięknych porównaniach. Takim też poetyckim językiem opisuje swoje Gorce, które z lotu ptaka przedstawiają mu się jak wielka, ku północy otwarta podkowa; Tatry („była w nich skamieniała hardość i potęga, i martwa duma konających przed światem olbrzymów"); las i odpust ludźmirski. Jest też dużo uroku w postaci Cyrka, który tak głęboko odczuwa życie przyrody i boleje nad wycinanym la-

sem; w Droździe także, tym kłusowniku na pstrągi, a wreszcie i w Diable-Antku, co z uporem maniaka skarbów poszukuje. Umie też Orkan pięknie opisać zabawy wsiowe, toteż kiedy wzywa nas na świętojańską pohulankę (t. II, rozdział 3) słowami: „Na bory! na bory!" — gnalibyśmy jak zatraceni na polanę... A zwłaszcza, gdybyśmy się tam naszą dziewczynę, jak Franek Hanusię, spotkać spodziewali.

Nie trzeba zapominać, że każdy utwór literacki zamyka w sobie nie tylko pierwiastki kształcące (obserwacje, uwagi, myśli, wnioski, opisy), ale także wiele pierwiastków wzruszających. „W roztokach" Orkana dużo zawiera mądrości społecznej, ale najbardziej wdzięczni jesteśmy autorowi za wzruszenia, których podczas czytania tej powieści doznajemy. Jego przywiązanie do gór, ludzi górskich i górskiej przyrody chwyta nas za serce i budzi wiarę we wieś. *Każdy z nas chciałby być dla swojej okolicy Frankiem Rakoczym,* choć dużo rozsądniejszym i umiejącym chodzić po ziemi...

4. Jak organizować czytanie powieści „W roztokach".

Oczywiście, pożądanym by było, ażeby najpierw książkę tę do ręki wzięli Podhalanie. Najbliższa im będzie ona z wielu względów. Niech ją przeczytają z ołówkiem w ręku, celem utrwalenia na papierze tych wszystkich myśli i wrażeń, które nasuwać się im będą podczas czytania. Najłatwiej im właśnie będzie zestawić obraz wsi Przysłopia, przedstawiony przez autora w powieści, z obrazem własnej góralskiej wsi rodzinnej, z której pochodzą. Czy też i obecnie nie pojawiają się na wsi Rakoczowie? Okazuje się, że mogą być dwie drogi wydobywania się z nędzy: 1) stopniowe ulepszanie stosunków (zaczynające się przede wszystkim od pogłębienia własnego umysłu i charakteru) poprzez organizowanie wsi dla celów kulturalno-oświatowych i spółdzielczych aż do umiejętności gospodarzenia się i samorządności w zakresie spraw gromadzkich, gminnych, powiatowych, wojewódzkich (udział w pracach samorządu); albo 2) droga marzycieli, którzy roją obrazy nagłej, nierzeczywistej szczęśliwości, za jednym jakimś zachodem mogącej jakoby przyjść niespodziewanie. Droga pierwsza, to droga trudu, wytrwałego dążenia i ofiarności społecznej. Cechuje ona ludzi, którzy nie lubią oddalać się od rzeczywistości, zaś drogą marzycieli chadzają zwykle nieprzytomni wywrotowcy, sobie i drugim przynoszący wiele szkody. Być może, Rakoczy [1]) dlatego w Przysłopiu

---

[1]) Nazwisko to jest pochodzenia węgierskiego. Na Podkarpaciu osiedlali się często się dawniej ludzie z Węgier (Węgrzy, Słowacy, Rumuni i Cyganie) i z czasem upodobniali się do miejscowego otoczenia.

nie zdołał zorganizować ludzi do pracy twórczej, że jako człowiek obcej krwi (proszę zwrócić uwagę na jego podświadome sympatie dla obozu cygańskiego; na żal, iż nie nosi nazwiska polskiego jak ów Koldras Lacki, konfederat barski, pochowany na szczycie Turbacza; wreszcie na wyjazd do Siedmiogrodu, głównego skupiska cyganów) nie rozumiał tubylców - górali, że jego projekty zmian właściwie nie trafiły do przekonania nawet komornikom, którzy przecież nic do stracenia nie mieli, lecz owszem — wszystko mogli zyskać. (Ale ten wzgląd na obcość krwi nie jest znów tak dalece istotny).

Oto główne sprawy, z którymi podczas czytania powieści trzeba się myślowo rozprawić. Wówczas uświadomimy sobie to, że *Rakoczego naśladować powinniśmy tylko w jego trosce o dobro wsi, ale nigdy w sposobach zaradzania złemu.* I jeszcze jedno. Nie ma człowieka, który by, jeśli zechce, nie przyczynił się choćby w małej mierze do wspólnego dobra wsi. Nie ci najwybitniejsi umysłem, jak np. Rakoczy, lecz każdy z nas, zdolniejszy czy mniej zdolny, bogatszy czy uboższy — wszyscy sprawie służyć powinniśmy. Najpierw sprawie wsi, a przez wieś — całej Polsce.

Prócz tego przy czytaniu tego utworu warto jeszcze zwrócić uwagę na postępowanie Hanusi Suhajówny. Jakbyśmy osądzili jej moralność jako narzeczonej Rakoczego? Czy były istotne powody do zrywania z Frankiem i to zrywania za jego plecami? W dramacie pt. „Franek Rakoczy“ (który jest jakby dalszym ciągiem omawianej powieści) Orkan wprowadza Hanusię jako żonę Cichońskiego i matkę... syna Rakoczego. W świetle tej wiadomości potępianie Suhajówny będzie zupełnie uzasadnione.

Pierwsi czytelnicy „W roztokach“ rozniosą wiadomość o powieści w świetlicy żołnierskiej i na pewno zachęcą dalszych swoich kolegów do jej przeczytania. Wówczas możemy pokusić się i o zespołowe odczytanie fragmentów, które uznamy za szczególnie piękne i ciekawe. Zalecają się tu szczególnie do czytania na głos: odpust w Ludźmierzu (t. I), ścinanie lasu (t. II) i zabawa „na borach“ (także t. II).

Po zapoznaniu się z treścią książki przez ogół świetliczan można by zorganizować tzw. sąd literacki nad Suhajem, Rakoczym i Hanką. Jest to jakby zabawa w „sąd prawdziwy“. Jedni będą oskarżycielami (prokurator), drudzy oskarżonymi, trzeci — sędziami. Rozdzielimy pomiędzy siebie role i role te samodzielnie sobie napiszemy. Zorganizowanie takiego sądu literackiego, podobnie jak dobrego przedstawienia, głęboko poruszyć może nawet tych, którzy tej powieści nie czytali.

Franciszek Mleczko

Artykuły dyskusyjne i wolne głosy

O wychowawcy

Oddziaływanie wychowawcze można określić jako powodowanie zmian psychicznych w ludziach poddanych temu oddziaływaniu. W tym sensie wychowawcami jesteśmy wszyscy.

Samym swoim „byciem“ oddziaływujemy nieprzerwanie na bliźnich. Równocześnie jesteśmy poddani takiemuż oddziaływaniu otoczenia. To jest prawdziwy młyn. Dokoła każdego z nas unoszą się opary osobistych doznań, przenikające do (obcych) organizacji psychicznych. Pesymizmu uczy nas najczęściej współżycie z człowiekiem rozgoryczonym. Doznana niesprawiedliwość wpływa na naszą filozofię życiową nieraz w sposób decydujący. Katar żołądka u ojca i związanie z tym cierpieniem nieznośne usposobienie „tatusia“, odbiera czasem synowi wiarę w sens istnienia. Uśmiech nieznajomego człowieka zdolny jest zdusić myśli o samobójstwie...

Dlatego wychowawcą jest każdy.

Fakt, że nie ma człowieka, o którym by można powiedzieć, że jego istnienie nie wpływa w niczym na życie wewnętrzne kogokolwiek bądź innego — nie pozwala nam jednak, na udzielanie każdemu człowiekowi miana wychowawcy.

Odczuwając bardzo silnie wpływy otoczenia, rzadko zastanawiamy się nad naszym wpływem na otoczenie. Czułość i tkliwy szacunek dla własnej osoby utrudnia wyhodowanie w sobie poczucia odpowiedzialności za nasz stosunek do innych. Nie ma w nas świadomości kształtowania świata dokoła siebie.

Nie zdaje mi się, by istniał człowiek, który by mógł nikogo nie krzywdzić. Nieświadomość czynienia krzywdy — faktu nie zmienia, raczej uniemożliwia tylko zmianę tego stanu rzeczy.

Dlatego mało jest wychowawców w pełnym tego słowa znaczeniu.

Niemniej tytuł „wychowawca“ istnieje. Nadaje się go jednostkom, które otrzymały specjalne środki oddziaływania na podporządkowaną im grupę ludzi, otrzymały możliwość tak zwanego „wpływu“. Praktycznie rzecz biorąc — posiadają możność bardziej intensywnego *pomagania lub szkodzenia* innym, niż człowiek przeciętny.

Społeczeństwo włożyło na „wychowawców“ obowiązek *świadomego* przekształcania zbiorowisk czy poszczególnych jednostek, w kierunku uczynienia ich „lepszymi, wyższymi, potężniejszymi“ [1]).

Kto może podjąć tę pracę? Tylko ten, kto treść tych słów rozumie, kto sam tęskni do Dobroci, Wielkości i Mocy. Człowiek o religijnym [2]) stosunku do życia. Legitymacją wychowawcy jest osobisty trud dociekania prawdy. To — i nic innego. Praca

---

[1]) „Zmienić człowieka, zrobić go lepszym, wyższym, potężniejszym“ — tak zdefiniował zadania wychowawcy Marszałek Piłsudski.

[2]) Słowo „religijny“ rozumiem jako określenie stosunku filozoficznego, opartego na idealiźmie i pojmowaniu swojej roli, jako świadomej, odpowiedzialnej cząstki świata. Wyznawanie jakiegokolwiek oficjalnego kultu jest tu rzeczą obojętną.

myślenia, oderwanie się od pojęć dziecinnych są podstawowymi warunkami możności służenia innym.

Wyobrażenie dziecinne — to przeciwstawianie sobie dwóch wielkości. Jedna wielkość — to ja; druga — „świat". Świat czasem ładny, grzeczny, interesujący — świat wujków, pojawiających się z pudełkiem ołowianych żołnierzy, muszek, którym można obrywać skrzydełka, foteli, które można rozrywać i wydobywać spod pokrycia fantastyczne kształty sprężyn — a czasem też głupio złośliwy świat ciemnych pokoi, szczekających psów, nieuzasadnionych pretensyj starszych.

Warunkiem istnienia „świata" jest moje istnienie. Jest „świat", bo ja jestem. Moją rolą — eksploatacja „świata".

Czasem się z tych pojęć wyrasta. Początkiem myślenia jest stwierdzenie, że jesteśmy tylko cząstką świata. Pytamy wtedy — „gdzie moje miejsce w tym wszystkim?". Zaczyna się praca szukania.

Korzystamy z ustalonych pojęć i praw środowiska. Napotykamy pojęcia „etyka, patriotyzm, honor, kłamstwo, krzywda"... — pojęcia posegregowane, poszufladkowane, sklasyfikowane na „dobre" i „złe". To wolno, tego czynić nie wypada, to jest karalne. Świat jest prosty i zrozumiały — jak inwentarz biblioteczny. Pracy mózgu używamy do zapamiętania zasad. Zabijamy jeszcze nie dojrzałą myśl. Na miejsce dawnego zuchwałego eksploatatora wrzaskiem domagającego się od „świata" należnych danin, pojawia się układany kontrahent, wymieniający ze „światem" usługi. Powstaje tuzinkowa, pożyteczna, solidna, szanowana jednostka. Kandydat na poczciwego safandułę.

Poczciwy safanduła jest ożywiony najlepszymi intencjami, bierze wszystko dosłownie, skłonny do przyjmowania dogmatów i wyszukiwania sobie autorytetów, często łamie życie podporządkowanemu mu człowiekowi, ale wiadomość o tym przyjmie zawsze z niezmiernym zdziwieniem. Jest zadowolony z nabytej mądrości życiowej, nie gnębią go problemy, wszystko jest jasne, proste i poczciwe. Nie rozbił się nigdy o przepotężny bastion ludzkiej głupoty — sam tego bastionu pracowity budowniczy.

Rzecz jasna — taki człowiek, nigdy nie będzie wychowawcą.

Człowiek, który zabija bakcyla niepokoju — może tylko sam własnym szczęściem się cieszyć — nie potrafi zrozumieć i pomóc nikomu z tych, którzy pomocy potrzebują.

Cechą wychowawcy jest niepokój, popychający do poszukiwań; samokształcenie, a ściślej samo-kształtowanie się ciągłe jest niezbędnym warunkiem zrozumienia tych, których pragniemy uczynić „lepszymi, wyższymi, potężniejszymi".

Pierwsze uderzenie wychowawcy — to rozbudzenie w wychowanku niepokoju. To wstrząśnienie i podważenie kultu wygodnictwa i tandety. Ukazanie dalszych horyzontów. Nie pociągną one nikogo, o ile wychowawca nie znajdzie w swoim własnym sercu dość tęsknoty do tych odległych celów, dość wiary w ich prawdziwość.

Nikt z nas nie potrafi żyć ciągle w swoim lepszym świecie. Najmędrszy i najlepszy będzie przeżywał swoje upadki, swoje chwile niemocy. Jeżeli ktoś chce wychowywać, musi mieć tych chwil możliwie najmniej. Więcej korzyści innym przynosimy, pracując nad *oczyszczeniem własnej natury,* niż solidnie, w obowiązujących godzinach dając zastrzyki „wychowawcze" naszym wychowankom.

Wydaje mi się, że najzdolniejszy wychowawca jest wychowawcą naprawdę tylko w tych nielicznych chwilach, kiedy najmocniej czuje w sobie prawdę, że „Synów Bożych droga wszystkim otworzona“ [1]). Bez rozumienia tej prawdy jest tylko trenerem, dozorcą, co najwyżej opiekunem. Tytuł „wychowawcy“ pasuje wtedy do niego jak tytuł „mistrza“ przyfastrygowany statyście prowincjonalnego teatru.

Jan Średniak

Na marginesie dokształcania podoficerów

Minął bezpowrotnie okres w historii wojska, który utarł charakterystyczne powiedzenie, że „w wojsku myśleć nie wolno“. Nie zdał egzaminu na dłuższą metę mechaniczny sposób wychowania i wyszkolenia żołnierza. Człowiek - maszyna przyznał się do człowieczeństwa i pokazał swą duszę niemniej skomplikowaną od duszy dowódcy.

Dawne powierzchowne hasło, chełpiące się nieuctwem — zostało zastąpione nieśmiertelnym: „podstawą armii jest dusza prostego żołnierza“. Dzisiaj każdy niemal dzień przynosi nowości w dziedzinie wychowania i wyszkolenia, zmieniają się i udoskonalają metody. Pogardzany ongiś i stawiany na marginesie ludzkości ciemny żołnierz — stanął w pierwszym rzędzie obywateli, świeci przykładem ofiarności i posłuszeństwa.

Jeżeli zatem stawiamy takie wymagania szarej braci żołnierskiej, musimy się głęboko zastanowić nad podniesieniem umysłowym tych, którzy są bezpośrednimi jej wychowawcami — podoficerami.

O ile w oddziałach armii, gdzie zawsze praca wychowawcza odbywa się pod czujnym okiem przygotowanego odpowiednio dowódcy - oficera, a rola podoficera ogranicza się zazwyczaj do bezpośredniego wykonania odpowiednio spreparowanych poleceń, to w K. O. P., w samotnie tkwiących strażnicach, podoficer zasadniczo jest bezpośrednim, a niekiedy jedynym wychowawcą żołnierza. Stąd wniosek — trzeba od niego wymagać znacznie więcej. On musi do tej pracy być przygotowany tak, żeby mógł swój zaszczytny obowiązek wykonać w całości i bez zastrzeżeń.

Przyjrzyjmy się rzeczywistości i oglądnijmy naszego podoficera ze wszystkich stron.

Czteroletnia niemal praca w C. S. P. i ciągłe stykanie się z różnymi kategoriami podoficerów — najmłodszymi, średnimi i najstarszymi, oraz bezpośrednia obserwacja pracy podoficera w terenie upoważnia mnie chyba do zabrania głosu i wypowiedzenia się na ten temat obszerniej.

Zacznę od systematycznego podziału ogółu podoficerów na trzy grupy wyraźnie odcinające się, oczywiście z punktu widzenia wartości umysłowych i wychowawczych.

W pierwszej znajdą się wszyscy ci, którzy przez systematyczną pracę nad sobą rozbudzili w sobie głód wiedzy oraz interesują się żołnierzem i poświęcają wiele

---

[1]) Słowa poety-myśliciela Michała Świrskiego.

pracy jego uświadomieniu i wychowaniu. Są to ludzie na swoich placówkach niezastąpieni — czołowi bojownicy jaśniejszego jutra.

W drugiej grupie umieściłbym tych tzw. „regulaminowych" albo dniówkowych, odrabiających tylko swoje godziny i... „cześć". Wśród nich znajdą się tacy, co zapiszą się na kurs sześciu klas gimnazjum nie po to, żeby się czegoś nauczyć — ale tylko dla świadectwa, dla papierka. Ci ostatni najczęściej mają wysokie aspiracje — nie czytają „Wiarusa", bo to za „niski" poziom dla nich; nie zbliżają się do żołnierza, uważają go za człowieka gorszego gatunku i dopiero na kilka miesięcy przed egzaminem sprawdzającym uczą się „po łebkach". Za dopust Boży uważają naukę języka rosyjskiego, popełniają kardynalne błędy ortograficzne w ogóle, „psiocząc" na nową pisownię; z zasady nie czytają poważniejszych książek, a bardzo rzadko gazety. Przyciśnięci do ściany, nadrabiają miną i fantazją. Są to na ogół podoficerowie „inteligentni" (zewnętrznie, płytko, i bez większych walorów wychowawczych).

No i nareszcie do trzeciej grupy zaliczyłbym wszystkich „wrogów" książkowych, którzy nie tylko sami nie pracują nad sobą, ale niechętnie patrzą nawet na mądrzejszego żołnierza, bojąc się prawdopodobnie konkurencji umysłowej. W większości — są to ludzie bez żadnych głębszych zainteresowań, prowadzący prawdziwie „borsuczy" żywot. Jedni spośród nich nie posiadają podstawowych zasad wiedzy ogólnej, inni opuścili się. Może kiedyś coś i umieli, ale trwając w bezczynności — zapomnieli. Jeszcze inni wrośli w środowisko bez reszty i nie odczuwają już potrzeby podciągnięcia się na wyższy szczebel. Matrwota mózgów i ograniczony wąskimi ramami światopogląd, a jednocześnie wielka odległość od ośrodków kultury, skazują ich na powolne umieranie duchowe.

Dowódca K. O. P., doceniając wielkie znaczenie pracy oświatowo-propagandowej i wychowawczej na pograniczu, położył wielki nacisk na wychowanie podoficerów.

Pięknie pomyślany program dokształcania podoficera dzieli się na trzy etapy.

Młodzież pragnąca się poświęcić służbie zawodowej w K. O. P., otrzymuje zamknięte w kilkuset godzinach kardynalne podstawy z wiedzy ogólnej, uzupełniając równocześnie w miarę potrzeby wykształcenie w zakresie szkoły powszechnej III stopnia.

Po kilkuletnim pobycie na granicy, wracają młodzi podoficerowie nadterminowi na kurs instruktorski, aby w dalszym ciągu pogłębiać i rozszerzać swój światopogląd oparty na doświadczeniach życia granicznego. Tym razem przygotowuje się ich już wyraźnie do pracy wychowawczej, zapoznając z elementarnymi zasadami psychologii ogólnoludzkiej i żołnierskiej - wojskowej, mówi się o etyce, dydaktyce itp. Sporo czasu poświęcają uczniowie życiu świetlicowemu, prowadzonemu w myśl hasła „uczymy się bawiąc" — no i celują zazwyczaj w przygotowaniu i wykonaniu osławionych wieczornic żołnierskich, z którymi już zetknęli się na kursach rocznych albo na granicy.

Podszkoleni w ten sposób, wracają do swoich oddziałów, aby nabrawszy większego doświadczenia, już w stopniu plutonowego zawitać po raz trzeci do szkoły na kurs doskonalący.

Tym razem wymagania zwiększają się znacznie — to też o przyjęciu na kurs decyduje egzamin wstępny. Szczęśliwi pogromcy egzaminatorów z nielada dumą do-

stają się na listy uczestników i — po przerobieniu krótkiego programu oświatowego — pozostają na specjalnym kursie metodyczno - oświatowym, kształcącym pedagogów wojskowych. (Szczegółowy program kursu met. - ośw. „Biuletyn Ośw. Prop.“ nr 1-2 Rok II).

Ostatni etap urzędowego doskonalenia skończył się. Ludzie pełni zapału i wiadomości poszli w teren. Stoi przed nimi pole do popisu — tylko zakasać ręce i do pracy.

Oderwijmy się od szkoły i zajrzyjmy z nimi w teren pogranicza — wejdźmy poniekąd w ich życie. Tam dopiero zobaczymy rzeczywistość, tam spotkamy nie uczniów szkoły podoficerskiej, ale ludzi. Odwieczne prawo natury zimne i nieubłagane podzieli ich na takie czy inne grupy — przeprowadzi selekcję życiową tak ścisłą, o jakiej nie śniło się wykładowcom i egzaminatorom.

Pozostawione w bezczynności mózgi po pewnym czasie wyczerpują się jak nie ładowane akumulatory i po kilku latach pozostaną słabe ślady — wspomnienia owej odrobiny wiedzy.

Przewidziały to władze; przewidziały wysychanie wiadomości także samorządy podoficerskie i postanowiły temu zapobiec.

Rok rocznie prowadzi się kursy języka rosyjskiego, rok rocznie w okresie jesiennym przeprowadza się oficjalne egzaminy sprawdzające z wiedzy ogólnej, aby wytknąć słabe strony — niedomagania i w ten sposób pobudzić do pracy nad sobą. Aparat biblioteczny pracuje całą parą; książki aż się proszą, namawiają opornych; życie teatralne ożywia zespoły amatorskie i zmusza do pracy w imię ogólnej rozrywki. Od czasu do czasu, jakiś referat z nauki o Polsce, pogadanka aktualna, dyskusja w kółku samokształceniowym i krok za krokiem praca postępuje naprzód. A w odległej strażnicy radio ze swym bogatym programem popularnych pogadanek, gazeta i najwierniejszy przyjaciel — dobra książka. Czy to w skromnych warunkach granicznych nie wystarczy — tylko trzeba chcieć i umieć przezwyciężyć lenistwo.

W czasie „egzaminów“, kiedy rozmawiałem z podoficerami w cztery oczy — widziałem znacznie więcej niż kiedyś w Osowcu. Doszedłem do smutnego odkrycia, które mnie zabolało do głębi. Stwierdziłem, że większość młodych podoficerów nadterminowych i zawodowych zapomina zupełnie o książce i codziennej strawie kulturalnego człowieka — gazecie. Jest to objaw zastraszający. Młody narybek wychowawczy i wyszkolony w polskiej szkole powszechnej i wojskowej boi się książki — jałowieje. Co gorsze, stopień podoficera i zaszczytna służba na granicy nie biorą go i coraz częściej ogląda się za jakąś inną posadą cywilną.

Uważam, że starsi koledzy podoficerowie, mający wyrobione doświadczenie przez długoletnią służbę i bezpośredni przełożeni oficerowie - dowódcy powinni zająć się nie na żarty młodzieżą podoficerską. Ojcowska opieka i przyjacielska rada mogą zrobić bardzo wiele. Ze swej strony instruktorzy oświaty i propagandy muszą zainteresować się poziomem umysłowym podoficerów i w miarę możności postawić tę niecierpiącą zwłoki sprawę zupełnie wyraźnie.

Pracujmy nad sobą ciągle, uczmy się i uczmy innych — wychowujmy ich w imię dobra człowieka, obywatela i Polski.

Jan Sidorczuk

Jak pisać?

Napisanie jakiegoś referatu, artykułu, czy choćby *wypracowania* to sprawa, która często się może przytrafić każdemu.

Pisanie — to rzecz trudna. Wymaga ono nie tylko umiejętności należytego, jasnego formułowania naszych myśli w ten sposób, ażeby czytelnik pojął nasz artykuł tak, jak my tego chcemy, ale wymaga również dużej wprawy, sparafrazuję — „otrzaskania się z piórem".

Ponieważ mam na tym polu pewne doświadczenie, nie będzie więc rzeczą niestosowną, jeżeli niektórymi z tych doświadczeń podzielę się z Czytelnikami.

*　*　*

Całokształt pracy autorskiej nad pewnym zagadnieniem można podzielić na trzy zasadnicze etapy:

I etap — to okres prac wstępnych, przygotowawczych;

II etap — to właściwa praca nad referatem, artykułem, czy wypracowaniem, a więc napisanie, porobienie poprawek;

III etap — to gruntowna i ostateczna korekta — przygotowanie artykułu do wysyłki, czy referatu do wygłoszenia.

Zajmijmy się bliżej omówieniem tych rzeczy.

Dostaliśmy do opracowania jakieś zagadnienie. względnie chcielibyśmy podzielić się swoimi poglądami na pewne sprawy z szerszym gronem.

Czy od razu siądziemy i zaczniemy pisać?

Na upartego — można i tak. Tak bowiem powstaje wiele artykułów i referatów pisanych „na kolanie".

Nie znaczy to jednak, żebyśmy i my przyjęli podobny system pisania, gdyż system ten mogą zastosować ludzie, mający dużą wprawę w pisaniu i będący, jak się to mówi, w kursie rzeczy, chociaż i takim nawet w ten sposób pisane artykuły nie zawsze się udają.

Raczej więc przyjmujemy zasadę, że jeżeli mamy jakiś pomysł, to nie zasiadajmy od razu do pisania, a lepiej naprzód przemyślmy gruntownie interesujące nas zagadnienie. Czas, jaki upłynie od zrodzenia się w naszym umyśle pomysłu do chwili przelania go na papier posiada tę zaletę, że jest najlepszym *korektorem naszych* sądów. Zjawiska życiowe, zaobserwowane w międzyczasie. pozwolą nam na dokładniejsze sprecyzowanie tych sądów. Umysł nasz bowiem będzie reagował na zjawiska wiążące się z interesującą nas kwestią nawet bez naszej woli i wiedzy. Przez to i dane zagadnienie stanie się dla nas bardziej dostępne, skonkretyzuje się bardziej w naszym umyśle, choćbyśmy mu specjalnie nie poświęcali uwagi, a nieraz w naszych początkowych rozumowaniach dostrzeżemy rysy i niedociągnięcia, sprzeczności lub nawet i brak więzi logicznej pomiędzy naszymi poprzednimi tezami i twierdzeniami.

Nadmienić warto, że rzeczy tych nigdybyśmy nie zauważyli wtedy, kiedybyśmy zaczęli swoje rozumowanie przelewać na papier „na gorąco", tj. w momencie ich powstania. Jest to rzecz zrozumiała. Człowiek bowiem, tak samo jak do pewnych osób czy przedmiotów, przywiązuje się uczuciowo do własnych myśli, do własnych sądów. Czas, stępiając te uczucia, czyni nas bardziej krytycznymi w stosunku do naszego poprzedniego rozumowania.

Wniosek z tego prosty: zagadnienie, na temat którego mamy się wypowiedzieć, powinniśmy przez pewien czas w sobie „odnosić“ — przemyśleć.

Okres ten należało by wypełnić zebraniem i przestudiowaniem materiałów, które przy opracowaniu mogą nam posłużyć, albo za potwierdzenie naszych sądów, albo też za kontrargumenty odnośnie twierdzeń, które zwalczamy, lub co do których mamy inne zdanie.

Materiały te nie zawsze muszą być pod postacią książek, broszur czy artykułów. Mogą to również być podpatrzone sytuacje życiowe, jakieś fakty, odczucia itp.

Jednocześnie należało by powoli zarysowywać sobie w umyśle dyspozycje naszej pracy pisemnej, a w związku z tym szeregować zjawiska, szeregować myśli, zebrane dowody itp.

W tej fazie roboty pisarskiej niezbędną rzeczą jest robienie sobie notatek, względnie wyciągów z prac innych autorów, na które ewentualnie się powołamy. Jeżeli piszemy na temat, przy którym nie potrzebujemy sięgać do żadnej książki. czy gazety, a oprzemy się natomiast na naszych obserwacjach, należało by skrupulatnie notować swoje spostrzeżenia na opracowywany temat. W razie braku czasu, wystarczy notować krótko, choćby tylko w postaci zapisania sobie jakiegoś charakterystycznego hasła lub zwrotu.

Z własnego doświadczenia wiem, że nieraz jedno tylko słowo, zanotowane w chwili spostrzeżenia jakiegoś zjawiska, związanego z naszą przyszłą pracą pisemną, potrafi później, przy pisaniu zrekonstruować nam całe to odczucie, o którym moglibyśmy zapomnieć, a które częstokroć może z gruntu zmienić zarys konstrukcyjny naszej pracy. Osobiście przywiązuję do kwestii notowania swoich wrażeń tak wielką wagę, że zapisuję sobie skrupulatnie nie tylko swoje wrażenia i przeżycia pozostające w związku z zamierzoną pracą, ale nawet i wszystkie. moim zdaniem, udane zwroty, odnoszące się do przepracowywanego zagadnienia, które nieraz zupełnie mimowolnie i przypadkowo nawiną mi się na myśl przed rozpoczęciem właściwej roboty.

Koroną pierwszego okresu pracy autorskiej będą pisemne dyspozycje referatu, czy artykułu, które powinny poprzedzić właściwą pracę pisarską. Pamiętajmy, że ułożenie dyspozycyj choćby dla najdrobniejszych referatów czy artykułów jest rzeczą niezbędną, szczególnie dla wszystkich tych, którzy mają małą wprawę w pisaniu.

Praktyczna więc rada: jeżeli kto nie chce psuć harmonii układu treści, albo też — po napisaniu artykułu — spostrzec, że poszedł całkowicie po linii jakiejś bocznej tezy, a zasadniczą rzecz potraktował pobieżnie, czy też zupełnie ją pominął, taki niech lepiej nie bierze się za pisanie artykułu czy wypracowania bez uprzedniego ułożenia jak najbardziej szczegółowych dyspozycyj.

W dyspozycji, w formie punktów należało by zarysować ogólną konstrukcję artykułu. a w formie zaś podpunktów rozwinąć temat, z góry przewidując miejsce na własne tezy, dowody, kontrdowody i wnioski.

Uczono mnie kiedyś, że dla osiągnięcia prawidłowej konstrukcji każdej pracy pisemnej, najbardziej ogólny zarys konstrukcyjny tej pracy winien wyglądać następująco:

1) wstęp,

2) rozwinięcie,

3) zakończenie.

W bardzo wielu wypadkach można spotkać nawet dokładne rozliczenie, że tyle, a tyle (objętościowo) powinien zawierać wstęp, tyle i tyle rozwinięcie, a tyle i tyle zakończenie.

Doceniając całkowicie troskę ludzi (od których te rzeczy słyszałem) o harmonię prac pisemnych, w zasadach tych upatruję poważne niebezpieczeństwo dla piszących, a szczególnie dla początkujących. Obawy swe postaram się uzasadnić.

Przy rozliczaniu z góry miejsca na wstęp, rozwinięcie i zakończenie, pierwsze niebezpieczeństwo tkwi w tym, że niedoświadczony autor w zbyt wielkim stopniu przejmie się „koniecznością“ napisania prawidłowego wstępu i... albo napisze wstęp, w którym rozpocznie, jak to się mówi, „od Adama i Ewy“, a w rezultacie wstęp ten zajmie mu trzy czwarte całego artykułu, albo też, nie mogąc w jasny i prosty sposób nawiązać do zasadniczej treści artykułu, a powodowany chęcią wypełnienia przepisowej ilości miejsca, poda we wstępie szereg komunałów, oklepanych frazesów, które znakomicie spełniają jedną rolę: obniżają poziom całej pracy.

Idźmy dalej.

Następne niebezpieczeństwo przy skrupulatnym przestrzeganiu zasady „wstęp, rozwinięcie, zakończenie“ tkwi w tym. że autor, zbyt dużo miejsca poświęciwszy na zredagowanie wstępu, będzie usiłował sztucznie rozszerzyć rozwinięcie, ażeby dociągnąć do jakiej takiej harmonii tych elementów. Rezultat: również obniżenie poziomu artykułu.

Poprzestając na tych ogólnych uwagach odnośnie wstępu i rozwinięcia, chcę jeszcze podkreślić, że kwestia zakończenia nie budzi podobnych obaw. Starajmy się jeno, żeby zakończenie to nie było zbyt długie, a za to jędrne, żeby zawierało konkretne wnioski wyprowadzone z naszego rozumowania oraz, żeby nie zawierało zbytecznych frazesów, lub co gorsza sztucznych upiększeń.

Postawię przed czytelnikami nieco rewolucyjną tezę: czy nie dobrze by było, ażeby początkujący pisarz całkowicie pominął przy pisaniu referatu wstęp i od razu przystąpił do sedna rzeczy? A dopiero wtedy, gdy referat czy artykuł całkowicie opracuje, wyciągnie wnioski i postawi kropkę pod ostatnim wierszem, jeżeli jest gorącym zwolennikiem zasady „wstęp, rozwinięcie, zakończenie“, żeby dorobił ów nieszczęsny wstęp?

Pozwolę sobie w tym miejscu nadmienić, że znam wiele artykułów, pod którymi podpisałbym się obiema rękami, których można zazdrościć ich autorom, a które nie mają nawet jednego słowa wstępu.

Poddając czytelnikom tą, co bądź, niecodzienną myśl dorabiania wstępu, po zakończeniu artykułu, jestem głęboko przekonany, że jest to rzecz mniej niebezpieczna dla początkujących, niż błąkanie się po labiryncie frazeologii wstępu po to, ażeby później zgubić lub wypaczyć właściwą treść artykułu.

Mając gotowy plan, przystępujemy do pisania.

Ograniczę się do kilku uwag.

Pisać należy językiem prostym, jak najbardziej zwięźle i bezpretensjonalnie. Pięknie pisać (mam na myśli specjalnie ozdobne zwroty) nie każdy potrafi, zresztą, i styl taki nie do każdej treści pasuje. Natomiast zbytnie ozdabianie języka zaciemnia najczęściej treść oraz powoduje w artykule nadmiar t. zw. w języku dziennikarskim „wody“.

Należy więc tego unikać, ponieważ każdy niezręcznie użyty zwrot, choćby był najpiękniejszy, powoduje skutek wręcz odwrotny: bo niesmak u czytelnika i zwątpienie w zdolności pisarskie autora.

To samo odnosi się i do upiększeń zamieszczonych w nieodpowiednim miejscu lub nie dopasowanych do treści.

Wniosek z tego: należy pisać prosto i jasno.

Druga rzecz, to sprawa racjonalnego rozmieszczania w artykule dowodów, kontrdowodów i najrozmaitszych szczegółów, odnoszących się do przepracowywanego zagadnienia. Pamiętajmy, że wpływa to nie tylko na harmonię strukturalną artykułu, ale tak samo i na moc przekonywującą artykułów oraz plastykę w opisywaniu danego zagadnienia.

Ogólnie rzecz biorąc, nie należy się nigdy obawiać umieszczania w artykułach nawet i drobnych szczegółów, zwłaszcza zaś takich, które mogą nam uplastycznić nasze wywody, z zastrzeżeniem jednak, że konsekwentnie, przez cały ciąg pisania artykułu, będziemy mieli przed oczyma rzeczy istotne, momenty zasadnicze dla danego zagadnienia, a podawanym przez nas szczegółom postawimy za zadanie tylko ilustrowanie owych momentów.

W przeciwnym bowiem wypadku może zaistnieć niebezpieczeństwo (o czym już wyżej wspomniałem), że autor zajmie się rzeczami pobocznymi, wyolbrzymi je, czy też zacznie udowadniać rzeczy oczywiste, a zapomni lub niedostatecznie naświetli kwestie zasadnicze.

Trzecia sprawa.

Każdy autor winien wydać bezwzględną wojnę dwu rzeczom: skłonności do zbyt pochopnych uogólnień oraz nadmiernemu (niewspółmiernemu z potrzebą) używaniu „superlatywów".

W numerze 1-2 Biuletynu Oświatowo-Propagandowego K. O. P. z r. 1938, w artykule Z. Dąbskiego p. t. „Uwagi marginesowe" jest taki ustęp:

Siedmiu braci niewidomych badało słonia. Jeden dotknął trąby. Dla niego słoń był odmianą węża. Drugi, obmacawszy bok, stwierdził uroczyście, że słoń to po prostu ściana. Dla trzeciego, który objął nogę zwierzęcia, nie ulegało wątpliwości, że słoń jest drzewem... Itd.

Przypowieść bardzo charakterystyczna. Doskonale ilustruje ona, jak pochop w ocenie faktu, czy też zbyt prędkie uogólnienie czegoś wypacza ostateczny wniosek. Jeżeli autor nazbyt prędko coś uogólni i tym samym wyciągnie mylny wniosek — to pracy jego nikt poważnie nie potraktuje, a on sam narazi się — na śmieszność.

W bardzo wielu wypracowaniach szkolnych, przy ocenie faktów, zjawisk, stawianiu tez i wniosków, można spotkać określenia, że i to jest „najbardziej ważne" a obok, coś drugiego też „najbardziej" i trzecie: też „najbardziej" i... gdybyśmy takie wypracowanie przeczytali do końca, to zobaczylibyśmy, że wszystko jest tam „najbardziej ważne", że nie ma niczego tylko „ważnego", a już ze świecą nie znajdziemy czegoś „mniej ważnego".

Autor musi się nauczyć realnie oceniać zjawiska, klasyfikować je proporcjonalnie do ich wagi i wielkości, oraz... dobierać do określania ich takich wyrazów, które dokładnie oddadzą ich ciężar gatunkowy. Jeżeli tego nie potrafi, to niech lepiej przestanie... być autorem.

W każdym bądź razie, jeżeli nie umiemy dać sobie rady z klasyfikowaniem danego zjawiska, czy też z jego określeniem — nie ryzykujmy, nie żonglujmy superlatywami, lecz ograniczmy się raczej do skromniejszego ujęcia sprawy.

Wspomniałem wyżej przelotnie o udowodnieniu rzeczy oczywistych. Zdarza się to często nawet i dobrym piórom. Wracamy tutaj znów do początku: niedostateczna ocena zjawisk i faktów.

Jak z jednej strony należy unikać podobnego „wyważania otwartych drzwi", to z drugiej strony, autor, poważnie traktujący przedmiot, nie wypuści z pod pióra tezy, której by nie uzasadnił, jeżeli nie jest ona oczywista.

W tym celu niejednokrotnie zachodzi potrzeba przytoczenia nawet cytat z dzieł innych autorów, danych cyfrowych, wykresów, opisów i t. d.

Wstawki te, poza wartościami dowodowymi są pożądane i z innego jeszcze względu. Ożywiają artykuł. Należy je jednak stosować oględnie, z dużym umiarem oraz trzeba umieć odpowiednio powiązać je z treścią okresu myślowego, w którym je przytaczamy.

Wielką zaletą każdego artykułu stanowi żywość i barwność opisu oraz nie nużący układ. Na ten temat jednak głosu nie zabieram, bo nie wierzę... żeby to komuś pomogło. Na to, żeby pisać barwnie i żywo — trzeba mieć talent. Wierzę natomiast, że można się nauczyć pisać poprawnie.

* * *

Autor dochodzi wreszcie do momentu, kiedy z ulgą odkłada pióro: artykuł skończony.

Pozostaje poprawienie i przepisanie.

Poprawiać należy z namysłem, trzymając się następującej, niezwykle ważnej zasady: mniej dodawać a raczej kreślić.

Kreślić nadmiar frazeologii, kreślić nieudane zwroty, kreślić nieistotne i mało znaczące szczegóły, kreślić mało przekonywujące, lub nieudolnie zmontowane okresy myślowe.

Wreszcie ostatnia i bodaj najnudniejsza praca, to przepisanie. Na kwestię tę zwracam dlatego uwagę, że szczególnie w artykułach wysyłanych do osób nam obcych, forma, wygląd zewnętrzny artykułu może w dużym stopniu zaważyć na ustosunkowaniu się tych ludzi do naszej pracy. Artykuł napisany niestarannie, niechlujnie, czy nieczytelnie budzi w czytającym uprzedzenie do autora, a tym samym i do jego pracy.

Szczególnie denerwujące jest czytanie artykułów napisanych niewyraźnie, nieczytelnie. Dlatego też charakter pisma powinien być prosty; pisać należy wyraźnie, bez pośpiechu i nie ozdabiać (za żadną cenę!) poszczególnych znaków pisarskich jakimiś nadzwyczajnymi, wyszukanymi wykrętasami. Wysiłków naszych w tym kierunku nigdy, niestety, nie ocenią ci, do których naszą pracę wysyłamy. Taki to już nieczuły na piękno naród!

Wreszcie ostatni etap pracy autorskiej: przygotowanie referatu do wysyłki, lub oddania.

Na początku niniejszego artykułu wspomniałem o wpływie na naszą pracę pisemną czasu, dzielącego moment, napisania jej od chwili zrodzenia się pomysłu.

Okres ten nazwałem lapidarnie „odnoszeniem tematu".

Obecnie chciałbym wspomnieć w kilku słowach o znaczeniu, jakie może mieć dla naszej pracy okres między napisaniem artykułu, a wysłaniem go do miejsca przeznaczenia. Do tego okresu możnaby również dostosować lapidarne określenie, że jest to czas potrzebny na „odleżenie" się artykułu.

Okres ten będzie dłuższy lub krótszy, w zależności od warunków. Nie mniej — jest on konieczny. W okresie tym do napisanego przez nas artykułu nie warto zaglądać, a raczej przeciwnie, powinno się całkowicie o nim zapomnieć.

Ma to swoje znaczenie i swój sens.

Z własną „pisaniną". podobnie jak i z zagadnieniem, które się w nas „zrodziło" wiążemy się uczuciowo.

Trudno jest wtedy spojrzeć krytycznym okiem na swoje dzieło, znaleźć jego braki i wady. Czas, poświęcony na „odleżenie się" artykułu, zmniejsza nasz sentyment, a tym samym zaostrza czujność autora, jako krytyka. Im okres ten będzie dłuższy, tym bardziej zbliżamy się do idealnego momentu, kiedy spojrzymy na naszą pracę, jak gdyby okiem obcego.

Wtedy to nasze ostateczne poprawki będą objektywne i celowe i wtedy będziemy mieli tym większą gwarancję, że wypuszczamy z rąk rzecz dobrą.

O tym bowiem, czy jest to rzecz zła czy dobra, zasygnalizują nam na pewno nasze własne uczucia, doznane przy tej ostatniej korekcie.

St. Waka

MATERIAŁY DO WNIOSKÓW

Myśli o samokształceniu

Samokształcenie identyfikuje się nader często z samouctwem. Jedno i drugie słowo ma oznaczać uczenie się bez nauczyczyciela. Dla mnie są to dwa pojęcia różne. Samouctwo — to przyswajanie sobie wiedzy szkolnej, magazynowanie wiadomości w mózgu. Kształcenie się — oznacza prawie to samo, co „kształtowanie się" — jest to praca dokonywania pozytywnych przemian w umyśle i sercu — doskonalenie się — rośnięcie.

Samokształceniowiec i samouk mogą się spotykać przy jednej pracy — powiedzmy — przy kontemplacji mapy Europy. Robiąc to samo — będą czymś innym. Ten, który *się uczy* — stara się zapamiętać pewną ilość nazw, niezbędną do wzbudzenia zadowolenia przyszłego egzaminatora; ten, który *się kształci* — nasyca swoją ciekawość życia, przyswajając sobie wiadomości pomocne do zrozumienia innych zagadnień, które zechce w przyszłości rozpatrywać.

Jak w wielu innych wypadkach — tak i tu intencje wyznaczają zasadnicze różnice.

Niezmiernie ważnym czynnikiem orientacyjnym dla wyznaczenia różnic — jest czynnik przymusu. Człowiek *uczy się*, ulegając presji osób czy okoliczności. Często ten przymus jest zamaskowany — ale jednak istnieje. Wśród pozornych ochotników studiów wyższych, spotkać można pokaźną liczbę niewolników snobizmu, żądzy wygód — czasem obowiązków rodzinnych. Ich żądza wiedzy — to w istocie żądza dyplomu Znam akademików, z zaciśniętymi zębami „wykuwających" pro-

gramowe mądrości i mierzących z tęsknotą czas, dzielący ich od chwili wyzwolenia, kiedy będzie można rzucić książki — narzędzia cierpień — w kąt i nie spojrzeć na nie więcej.

Samokształceniowiec — to człowiek z *bezinteresownym pragnieniem* rozumienia i odczuwania. Stopień pociągu do pracy samokształceniowej dość ściśle wyznacza *prawdziwą inteligencję i dojrzałość psychiczną* jednostki.

Przejawem życia umysłu jest *ruch*. Umysł rzeczywiście sprawny — jak wygimnastykowany mięsień — domaga się ćwiczeń, *chce* chłonąć i przetrawiać wiedzę, *żąda* problemów do rozwiązywania. Prawdziwy samokształceniowiec ulega tylko jednemu przymusowi — *swojej wewnętrznej tęsknocie;* tym różni się korzystnie od „pseudosamokształceniowców" — niewolników świata zewnętrznego.

Dążność do pogłębiania wiedzy jest naturalną dążnością jednostki dojrzałej. Psychologowie już dawno doszli do przekonania, że dojrzewanie psychiczne nie idzie w parze z dojrzewaniem fizjologicznym. Nie można również wyznaczyć granic, od których „zaczyna się" jednostka psychicznie dojrzała. Ilość posiadanej wiedzy, czyli znanych jednostce faktów — *nic nie mówi* o jej dojrzałości. Źródło czerpania wiedzy jest praktycznie niewyczerpalne. Nie do pomyślenia jest geniusz, mogący przyswoić sobie cały ogrom nauki, sztuki, filozofii religijnej i moralnej, wypracowany w ciągu wieków przez ludzkość. Istotą dojrzałości — jest *ruch i prężność.* A jednak nie wykorzystujemy wszystkich posiadanych możliwości. Zawsze moglibyśmy rozumieć i odczuwać więcej; mówiąc wulgarnie: jesteśmy głupsi, niżby to z sytuacji wypadło.

W tym stanie rzeczy zaniechanie pracy samokształceniowej dowodzi skostnienia, braku ciekawcści życia, zasklepienia się w kręgu osobistych doraźnych korzyści.

Oczywiście — namówić ani zmusić nikogo do samokształcenia nie można. Nakazać można tylko samouctwo.

Dla każdego, kto w szkole musiał studiować arcydzieła literatury według wyznaczonej metody i pod groźbą kontroli — nie jest niespodzianką stwierdzenie wtedy braku momentów atrakcyjnych w najpiękniejszych książkach najwybitniejszych pisarzy.

Przymus spętał umysł i serce — nie można było wykrzesać z siebie cienia zachwytu nad kapitalnymi sformułowaniami, podziwu dla misternego szyku słów, rzadkim gościem było wzruszenie, które potem przy ochotniczym czytaniu tego samego dzieła — uczyniło z wyklinanej niegdyś książki — ulubioną.

* * *

Społeczeństwo jest takie — jakimi są jednostki. *Lepsza przyszłość to po prostu lepszy człowiek w przyszłości.* Na podstawie przyjętych w danym czasie i miejscu obyczajów, ustroju prawnego, związków wzajemnej zależności — można ustalić ściśle poziom kulturalny jednostki. Zjawiska życia zbiorowego nie są odosobnione; istnieje między nimi wzajemna zależność i współoddziaływanie — a we wszystkich przejawia się czynnik podstawowy — *dusza współczesnego człowieka.*

Dlatego „poprawianie" społeczeństwa — to w istocie praca nad udoskonaleniem człowieka. Wszystkie inne sposoby — mechaniczne — zawiodą, o ile się o tej podstawowej prawdzie zapomni. Praca nad pozytywnym przekształcaniem jednostki jest sprawą o znaczeniu społecznym. Samokształcenie — praca nad sobą — jest również sprawą dobra całego narodu, choćby to wydawało się nieprawdopodobne.

Chcemy czy nie chcemy, jesteśmy twórcami rzeczywistości. Im bardziej o tym pamiętamy — tym lepiej. Nasza ignorancja jest nie tylko sprawą ograniczenia naszego życia osobistego, ale jest również czynnikiem społecznie szkodliwym. Głupota czyni najwięcej szkód. Dobrze byłoby pamiętać o tym, że moja osobista głupota nie jest mniej szkodliwa niż głupota bliźniego — i dlatego równolegle z innymi formami pracy dla dobra narodu — do której prowadzenia chętnie się przyznajemy — warto było by stosować formę likwidacji swojego własnego ograniczenia.

Słów „głupota“ czy „ograniczenie“ nie należy traktować jako próby wymyślania czytelnikowi — po prostu sądzę, że zarówno Jan Średniak jak jego czcigodni czytelnicy są ograniczeni nie tylko w zestawieniu z najtęższymi mózgami ludzkości, ale nawet w porównaniu do siebie samych — takich, jakimi mogliby być, gdyby naprawdę chcieli.

Znam działaczy społecznych, wiecznie zaaferowanych, nieznużenie czynnych, dźwigających odpowiednią porcję szacunku społecznego — ludzi szkodliwych przez to, że za obowiązek patriotyczny uważają wyłącznie pracę nad innymi — sami zaś pozostają „jak ich Bóg stworzył“, z wszystkimi przywarami i nonsensownymi wyobrażeniami. Bo nie mają czasu dla siebie. Ich praca jest funta kłaków w istocie nie warta. Życie idzie naprzód — oni trwają na starych pozycjach, zabierając się do pracy nad człowiekiem według metod aktualnych w odległych czasach, kiedy jeszcze umieli myśleć — lecz dziś już przebrzmiałych.

Poziom jednostki kształtuje oblicze społeczeństwa. Jestem jednostką. Moje samokształcenie jest pracą o znaczeniu społecznym.

* * *

W człowieku istnieje naturalna chęć twórczości — nadawania osobistego piętna otaczającym nas przedmiotom czy ideom. Rozumiemy dobrze, że czym innym jest najsumienniejsze wypełnianie obowiązków — a czym innym swobodna twórczość. Idealnym rozwiązaniem jest posiadanie możności wypowiadania się twórczego w zakresie wypełnianych obowiązków. Nie ciążą one wtedy — a dają po prostu możność wyżycia się. Wiele zawodów posiada te możliwości. Do nich należy zawód wychowawcy żołnierza.

Wychowawca żołnierza posiada wszystkie elementy, mogące zmienić wykonanie obowiązków w... twórczość. Pilnując żołnierza, by na czas wstawał, utrzymywał w porządku broń i oporządzenie, kładł się o odpowiedniej porze spać, jadł, co mu się należy i wreszcie wykonywał, co każą — wypełnia swoje obowiązki. Ale *umiejętnie* wykorzystując elementy ustalonego trybu życia, fazy zmęczenia i odpoczynku, rozmawiając z wychowankiem, ganiąc go lub zachęcając — może stać się twórcą. Może sprawić, że jego żołnierze będą mieli specjalny „fason“ odmienny i korzystny, który będzie dowodem, że ich wychowawca jest indywidualnością. Wychowawcy zaś da najwyższy stopień zadowolenia z życia — świadomość swojej twórczej roli.

Aby móc się pokusić o takie rezultaty — trzeba przede wszystkim pracować nad sobą. Coraz więcej rozumieć, coraz więcej odczuwać — to coraz mniej się mylić — to stawać się pożyteczniejszym i wreszcie to dopiero znaczy — żyć naprawdę.

Jan Średniak

Z WYDAWNICTW

Teatr Polski Żywej. Tomik 6. *Marian Mikuta.* LEGENDA O KARCMARZU CENTORYI. Widowisko regionalne w 2 obrazach z prologiem. Z 10 rycinami i nutami. Opracowanie muzyczne Jana Czecha. Rysunki wykonał Czesław Lenczewski.

Rzecz ta w ujęciu słuchowiskowym była po raz pierwszy wykonana w Polskim Radio w Krakowie w dniu 18 sierpnia 1937 roku na rozgłośnie krakowską i lwowską, przez uczestników kursu oświatowo-teatralnego w Czernichowie n/Wisłą.

Nie jest to tzw. „sztuczka amatorska" lecz widowisko pod względem literackim wzorowane na twórczości ludowej. Treść jego jest dwuplanowa: na pierwszym planie toczy się akcja wesela z pogranicza regionu krakowskiego i sądeckiego. W trakcie tej akcji (która odbywa się opodal stawu Centoryi) wyłania się akcja (o charakterze poniekąd balladowym) legendy o Karcmarzu Centoryi. Formalnie najbardziej rzucającą się w oczy specyficznością tego widowiska jest bardzo rozbudowany i dobrze rozwiązany problem żywego kontaktu akcji scenicznej z widownią, czego dokonywuje zapowiadacz. Zapowiadacz uczy np. publiczność pewnych piosenek, które po tym publiczność w ramach akcji scenicznej śpiewa. W widowisku bierze udział z aktorów 5 mężczyzn i 4 kobiety, ze statystów niemych indywidualnych 3 mężczyzn i 3 kobiety, 1 głos (za sceną) męski, grupa mężczyzn i kobiet śpiewająca za sceną i kapela wiejska z 4 grajków. Widowisko to można też wystawiać jako kukiełkowe.

Pod względem dekoracyjnym jest to rzecz bardzo prosta, można ją bowiem, przy użyciu zwyczajnych, ruchomych i prymitywnych zastawek (bodaj „symbolicznych") wystawiać nawet bez sceny. Efekty partii balladowej (sygnaturka, wiatr, deszcz, głos z dna stawu), wymagają raczej żmudnego przećwiczenia w ich użyciu niż kłopotliwości w ich zdobyciu.

Bardzo bogata i sumiennie opracowana jest partia muzyczna: 23 melodie śpiewne na jeden głos i 23 partyturki do nich na ową 4 osobową kapelę. Wygląda to może kłopotliwie, ale też ma najtrwalszą bodaj wartość kulturalną i wychowawczą. Wszak potrzebny jest do tego tylko przeciętny skrzypek albo pianista, a przecież praca nad nauczeniem melodyj jest pracą nad umuzykalnieniem środowiska. Melodie te odbiją się szerokim i długim echem. Może zostaną nawet trwałym zyskiem kilku wsi i pokoleń. Wszak tak mało śpiewają Polacy!

W części rysunkowej podano kostiumy i charakteryzację pięciu głównych osób oraz rysunki zastawek i rekwizytów.

Staranność wydania tego tomiku w niczym nie ustępuje omówionemu w poprzednim numerze tomikowi 5.

L. O.

WYDAWCA: ODDZIAŁ WYCHOWANIA ŻOŁNIERZA i PROPAGANDY K. O. P.

Adres Redakcji i Administracji:

Oddział Wychowania Żołnierza i Propagandy K. O. P., Warszawa, ul. Chałubińskiego 3

Drukarnia Oświatowa, Sp. z ogr. odp., Warszawa, ul. Żelazna 93